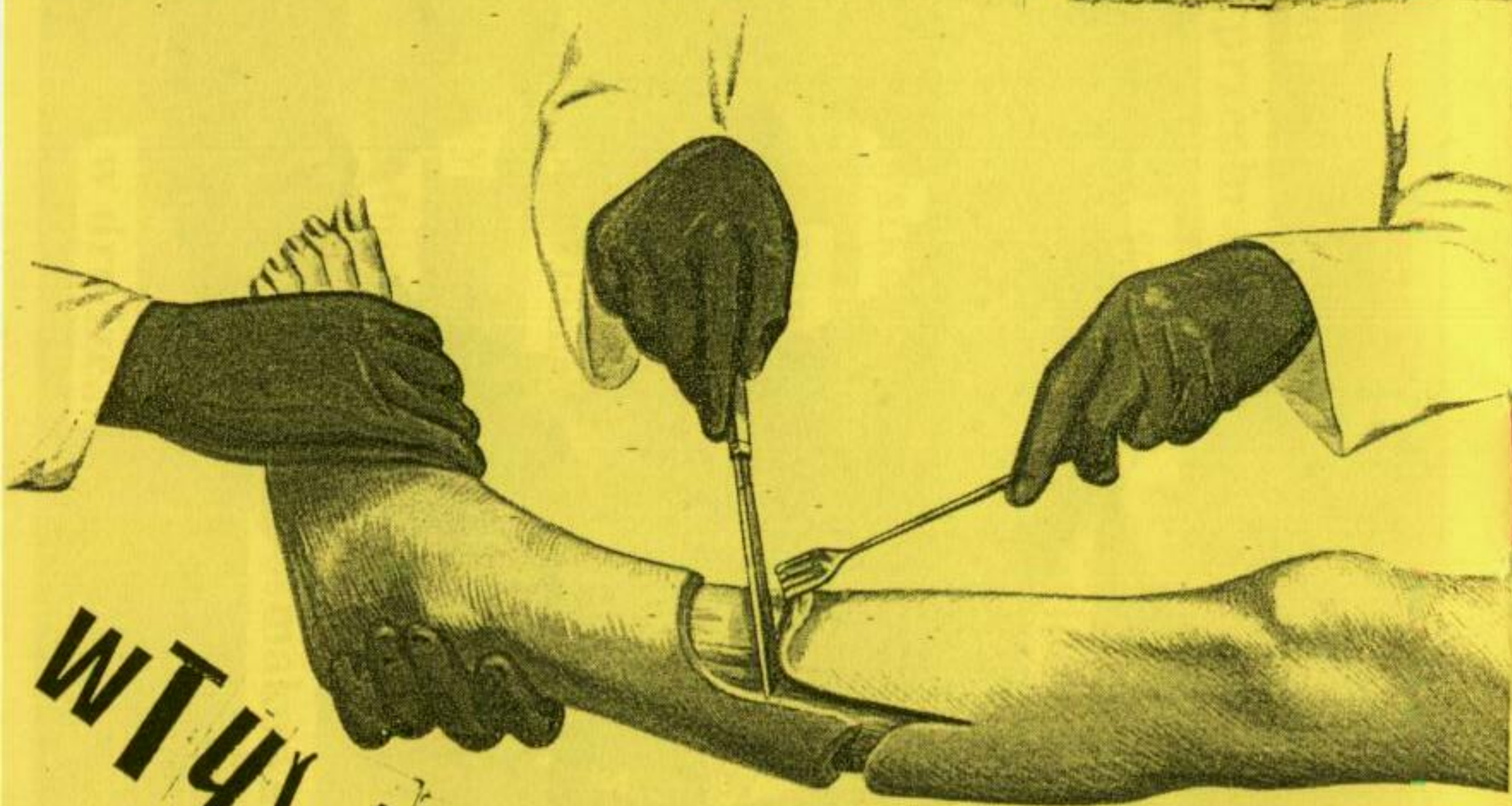
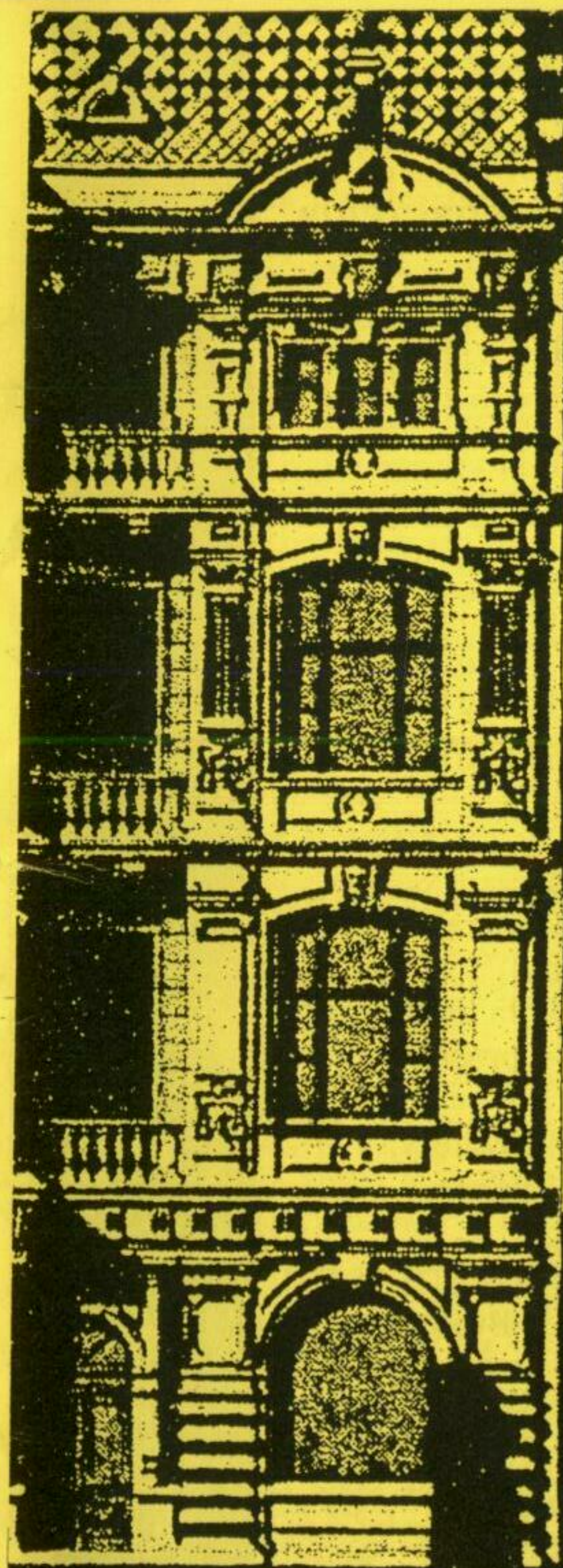


TWY TWA wam



Wt4KA: KOMISARIAT
POLICJI
AL MARCINKOWSKIEGO
31



S3e1est



ZIEMIA OBIECANA

— albo apokalipsa na wesoło, w
duchu chrześcijańskiego przebaczenia.

Potem ujrzałem:

Oto drzwi otwarte w Brukseli,

A głos ów powiedział:

„Wstąp tutaj, a oto ci ukazę
co potem musi się stać”.

Doznałem zachwycenia:

A oto w niebie stał tron,

A na tronie Najwyższy Komisarz
Zasiadł.

Dokoła tronu — dwadzieścia cztery trony,
a na tronach postępowi Europejczycy,
odziani w gwiazdy
i niebieskie szaty,

a na ich głowach złote wieńce.

Przed tronem — niby szklane morze,

Kraje wszystkie zlane w jedno.

A w środku tronu i dokoła tronu

Cztery zwierzęta pełne oczu z przodu
I z tyłu.

Zwierzę pierwsze podobne do Wałęsy,

Zwierzę drugie do Kwaśniewskiego,

Zwierzę trzecie mające twarz,

Jak gdyby ludzką — Balcerowicza,

I Zwierzę czwarte podobne do Buzka

W locie.

I nie mają spoczynku Cztery Zwierzęta

Mówiąc dniem i nocą:

„święta, święta, święta Unia

Wszechmogąca”.

Która była, Która jest Która przychodzi.

Grzybnia

Wróciłem dziś z pracy i prosto od drzwi ruszyłem do kibla, staną-
łem nad sedesem, rozpiąłem guzik i suwak spodni. Wyjąłem przyrząd
do powielania DNA. Spomiędzy włosów łonowych wyfrunęła mi muszka.
Pamięć podsunęła mi obraz gromady meszek, które atakowały mnie dwa
dni wcześniej w lesie — zdecydowanie niemiłe wspomnienie i dozna-
nie. No, ale żyjemy w normalnym świecie i owady wylatujące z owło-
sienia łonowego to nie jest normalny widok. Przegrzebałem palcami
zarost. Żadnych oznak tego, by coś zaległo się w moim sekretnym
ekosystemie. Czyżby świat stawał się wielką grzybnią? — Tak sobie
pomyślałem, bo jakie może być inne wytłumaczenie? Grzybie.

Sam czuję się pokryty grzybem. Gdy świeci słońce, dosłownie i w
przenośni, to wrażenie zanika. Chyba że pojawiają się ekstremalne
okoliczności. Na przykład spotykam Grzyba. Aktualnie żyjącą postać.
Prawdziwość jego istnienia wzmacnia fakt, że pomalował futryny
swych okien w bloku na czerwono. Na mojej świadomości odcisnął rów-
nie silne piętno, jak na swoim bloku. I na obrazie Kielc, których
integralną częścią mi się zdaje. Aż tak, że gdy pisałem „czad na
przezroczyście”, umieściłem go wśród postaci tej fikcyjnej opowieś-
ci. Pokazałem mu tę historię po jej wydrukowaniu. Czytała ją też je-
-go kobieta. Czyż może być lepsza recenzja od reakcji Dorotki? — By-
-ła zazdrosna, ta opowieść była dla niej tak prawdopodobna, aż uzna-
-ła ją za fakt dokonany. Miał o to do mnie pretensje. Smaczku tej
anegdocie dodaje fakt, że wydrukowali ją gnoje z „brulionu”. Grzybi-
bie.

Nie będę przytaczał tysiąca brzydkich faktów. Po co? Powiem tak:
lubię go, ale znam i widzę jego szeroko pojętą brzydotę. Trudno go
przekonać do czegoś, czego sam nie chce. Jest egoistą, a jeżeli ko-
muś srodzi, to tylko dla doraźnego, szybkiego zysku — efektu. Pamię-
-tam, siedłem kieleckim deptakiem, a było to z dziesięć lat temu,
spotykam go, a on już z daleka krzyczy:

Niech żyje czcigodny Bakunin!!! Niech żyje czcigodny Malatesta!
Niech żyje czcigodny Kropotkin!!!

Mnie wtedy serce rosło. Co z tego, ja to wiedziałem, że on sobie
kpi z moich sympatii politycznych i chodzi mu tylko o to, bym posta-
-wił mu wino, ale dla przeciętnego przechodnia z deptaku facet w
średnim wieku wykrzykujący takie rzeczy był ewidentnym przykładem
proanarchistycznych sympatii w społeczeństwie. Czułem się skrępowa-
ny takim wylewnym powitaniem, ale jednocześnie bardzo mi się ono po-
-dobało. Dziś wiem, że nie krępowało go ani czas, ani miejsce, ani
też obecność wielu obcych ludzi. Miesiąc później biegał po tej sa-
mej ulicy, klękał przy kratkach ściekowych i nawoływał jakiegoś wy-
-m yślonego chwilę wcześniej Kazimierza do wyjścia z kanałów. Ludzie
mijali go zdziwieni, zaszokowani. Nie zwracał na nich uwagi. Dziś
jest w połowie piątej dekady swego życia, poznałem go jakieś dzie-
-s ięć lat temu, ale cały czas mam takie same odczucia: to jest rock
and roll. Dziś ja mam prawie tyle lat, ile on miał, gdy go poznałem.
Być może zbliżyła na twórczość, słowotwórstwo. On pisze wiersze, ja
wolę prozę. Choć szczerze mówiąc, tak sobie myślę, skoro jest cały
czas zgrzany, a jest od kilku lat, to kiedy on może to robić? Na ka-
-cu? — takim głębokim, kiedy wszystko jest brzydkie i smutne, jak to
pamiętam z osobistych doświadczeń — bo kiedyżby indziej? Być może
dlatego jego wiersze i collage są takie... Jakby wyrastały z wiel-
kiej grzybni. Grzybie.

Kiedy wiersze Grzyba znalazły się w anarchistycznej gazecie wyda-
-wanej przez mojego brata i przeze mnie, napisał do niego koleś z
Zawiercia, też poeta wówczas i też piszący ciekawe wiersze. Oto na-
pisał do Grzyba Remik. Spotkały się dwa światy. Remik ciepło wyra-
za ł się o wierszach Grzyba, Grzyb ciepło wyrażał się o wierszach



Remika. Znam ich obu, oni nie spotkali się osobiście nigdy. Być może dlatego tak wysokie mieli o sobie mniemanie... Grzybie.

Byłem nim zafascynowany. To było wtedy, gdy Sebura pokazał nam jak zajebistą zakąską do wina są flipsy z keczupem albo z dżemem. Piliśmy obok dworca PKS, gdzie kobieta Grzyba pracowała jako sprzątaczką. Tam ją poznałem, gdy przyszła do nas. Z uporem nazywa ją Dorotką, choć na imię ma całkiem inaczej. "Czarnoksiężnik z krainy Oz" -??? Miała już tyle lat i była z tak daleka, w świadomości oczywiste, a nie geograficznie, że na pewno nie miała nic wspólnego z punkiem, choć tego dnia wyglądała jak heroina ruchu. Dorotka, gdy ją poznałem, nie miała już górnych jedynek, zmarszczki wokół oczu i ust, ubrana była w czarną koszulkę i mini w deseń imitujący tygrysie cętki, odsłaniającą gołe, wydepilowane na gładko, ale czerwone jakby z przemrożenie nogi. Nawet zgrabne, Dorotko. Grzybie.

Poznałem go i spotykałem w knajpach w centrum Kielc, w "miami" i w "szaszłykach". To z tej drugiej knajpy wyszliśmy pewnego razu i poważnie zamroczeni alkoholem rozważaliśmy zrobienie skoku tysiąclecia. Znać ulicę Kilińskiego w centrum Kielc? W godzinach szczytu zatyka się i samochody stoją w korku od Rynku do samej katedry. Wytoczyliśmy się z "szaszłyków", gdzie oddawaliśmy się picciu wina spod stolika, a tu przed nami, w tym korku, stoi furgon bankowy. W s zoferce dwóch wystraszonych strażników. Robimy skok? Czemu nie? A jak to się robi? Trzeba podejść i powiedzieć: dawać forszę. To wszystko? Tak, lakoniczność jest w cenie. I Grzyb podszedł, zapukał i powiedział tę kwestię. I wtedy korek się odetkał, furgon ruszył, a skok nie doszedł do skutku. Grzybie.

No właśnie, Grzybie, ten numer ostatnio. Narkotyki. Grzyb nie pali, no wiecie czego, i nie korzysta, no chyba, że to alkohol, bo tylko ten go kręci. Ale odwiedza go co jakiś czas nasz wspólny znajomy z zagranicy i przywozi niezłe materiały. Do palenia. Zostawia Grzybowi. Ten nie konsumuje i nie dzieli się. Odkładał na półkę. Opowiadał jak to Dorotka ścierając kurze znalazła haszysz wielkości dwóch rosółków. Kazał wyrzucić do kosza. Mówię mu: wyrzuciłeś jakieś dwieście złotych. Był zdziwiony: wyrzuciłem tyle szmalcu? No proszę. Bez żalu to powiedział. A mnie się ręce usunęły z kolan, bo w łasnie siedziałem. Grzybie.

Unikam go, szczerze mówiąc, bo kiedy go spotykam w moje życie wkrada się tyle chaosu, że aż się boję o jego spójność i ciągłość. Ale spotykam go. Z czego on żyje? Kiedyś, dość krótko zresztą, produkował lizaki. Jak słodko. Grzybie.



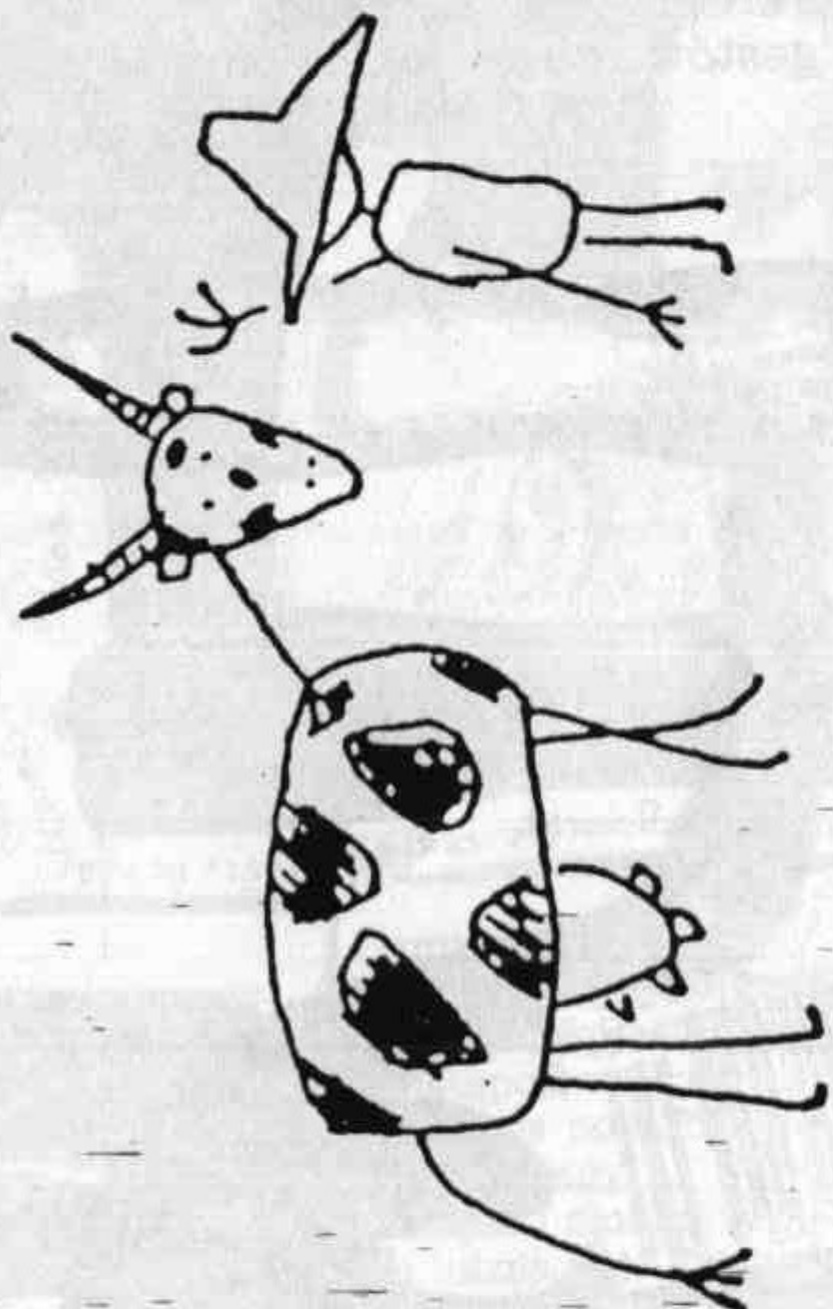
Pierdzi stachu
pierdzi rychu
obaż myślą
że pocichu
gdy to usłyszała
Zocha

powiedziała im
WYNOCHA
nie będą
przy niej srali
nie będą
też popijali
i gdy już ich
wygnała
to tak
się rozgniewała
że aż
się sama
posrała
pokazując
jak solidarność
w narodzie
dusi się
w swoim smrodzie



Bogwały
takie
goury
po
ludku
ska
skapiłoj
cultury
rury

Jedno z drugim
Wcale się nie łączy.
Pierwsze moje białe
Słowo.



WZROZ WIERZUCHA: PEWNA PANI!

RYC. 1

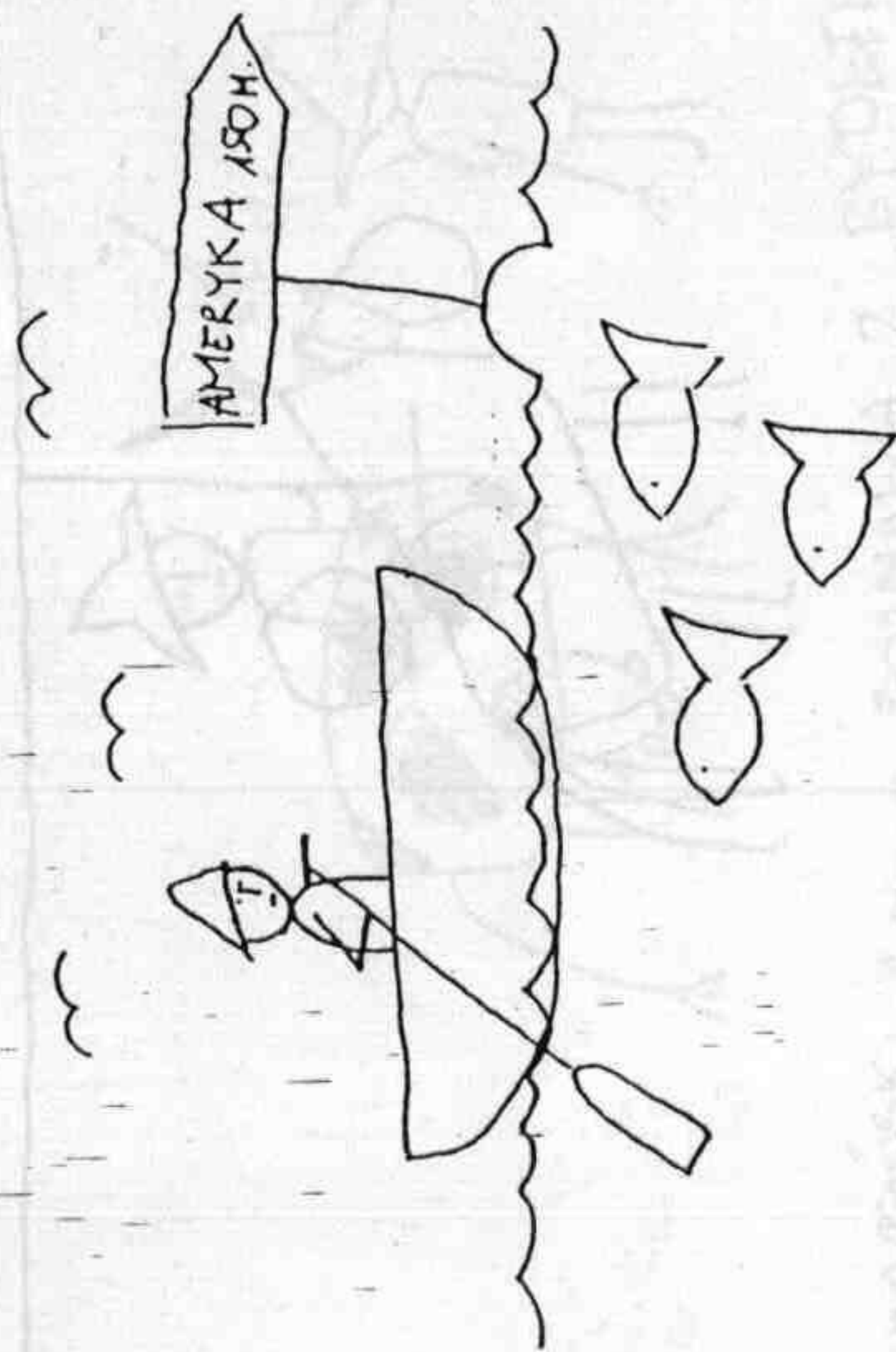
WZROZ WIERZUCHA: PEWNA PANI!

RYC. 2

WIERZUCHA

DON KICHOTE DOSADZAJĄCY





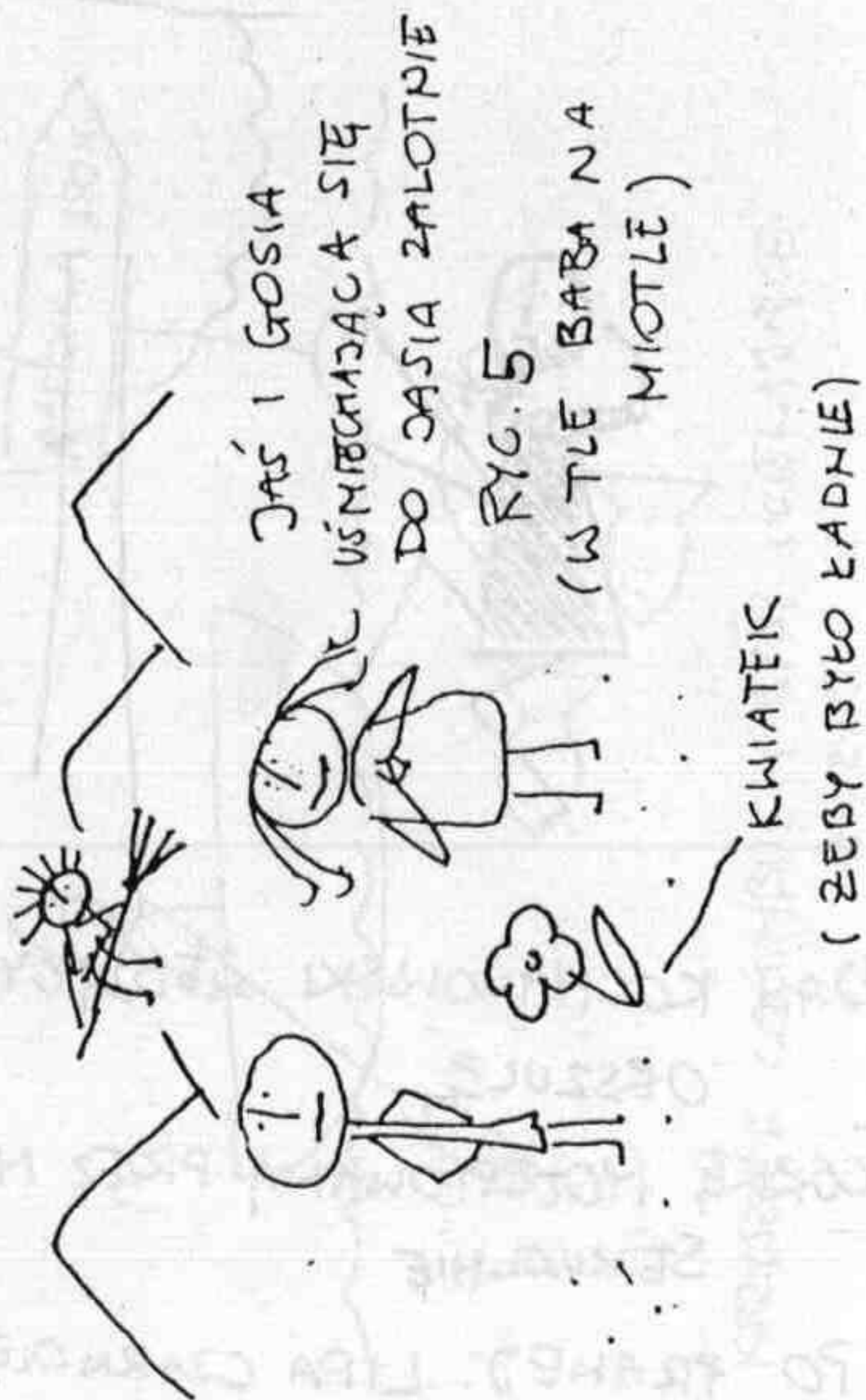
KRZYSZTOF COLUMBUS I RYBY UCIEKAJĄCE

2 AMERYKI RYC. 3



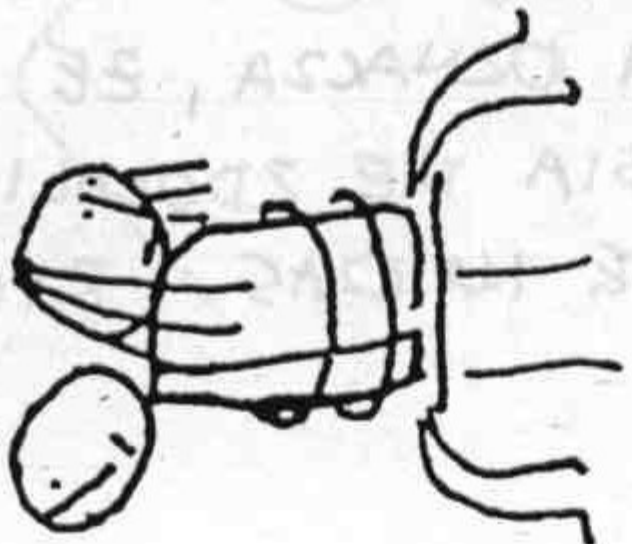
JAN KOCHANOWSKI SIEDZĄCY
ORSZULĘ,
CÓRKĘ MOLESTOWANĄ PRZEZ NIEGO
SEXUALNIE
(PO PRAWĘ: LIPA CZARNOLEŚKA)

RYC. 4



CHATKA CZAROWNICY. DYM
Z KOMINA OZNACZA, ŻE
JAŚ I GOSIA NIE ZDOŁALI
ODDAĆ SIĘ NA CZAS. RYC. 6.

DAŚ I GOSIA BARDZO ZĘ SOBA,
ZŁAZANI.



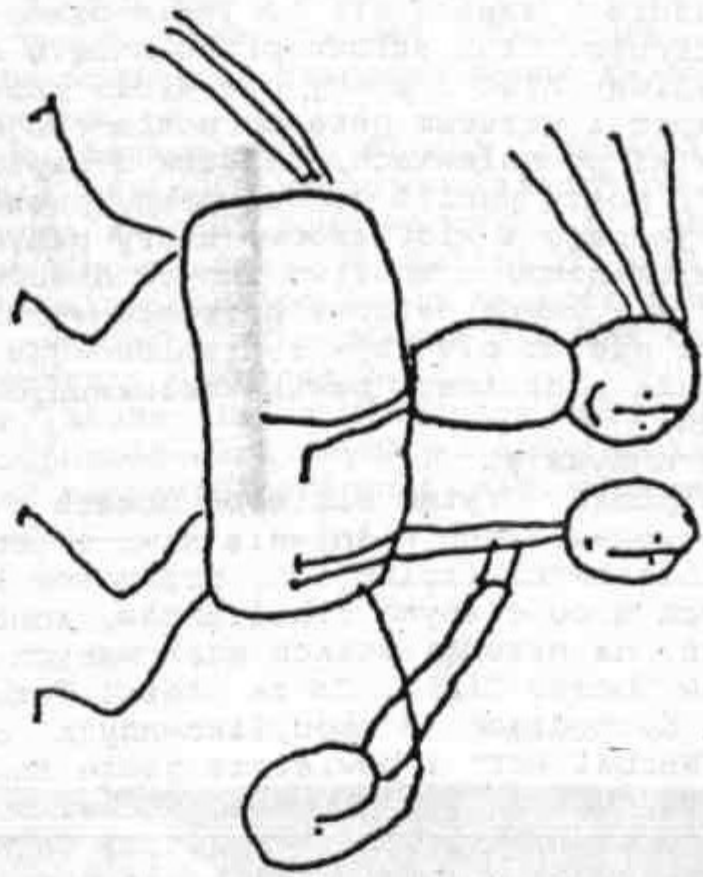
GOSIA DUŻE SIĘ, NIE UŚMIECHA, A
NAWET PRZECIWNIE.



ZYC. 7

(ZOD NOGAMI GOSI NADGRZYZIONY
PIERNIK RZUKONY NA PRZYNIĘTĘ)

MORAK: ZYCIE I PIERNIKI BYŁAŻĄ TWARDE



PATATAS... PATATAS... PATATAS.

(I MA ROZMIANY KŁOS)

(GOSIA UŚMIECHA SIĘ
JONOWIE)

...ALE U OSTATNIEJ CHWILI ZPOWALI UCIEC I TERAZ GNĄŻĄ
PRZECI PRZECI WIERZĄCEM DO KICHOTEIA.

ZYC. 8 I OSTATNI

cyBer dOmek

Kończę palić ochydnego Zawiszę- nienawidzę tych fajek z równie ochydnym napisem na pudełku: "Oryginalny, polski smak tytoniu"- wolę Popularne, albo Mocne, ale co zrobić- te akurat są najtańsze... Stoję przed oknem, gapię się w ciemność łaskawie, acz oszczędnie upstrzona niewielką plamą światła z latarni, która co kilka minut gaśnie i zapala się za jakiś czas. Jest ciepło, może nawet zbyt ciepło. Okno skłotu przesłonięte zdeformowaną, nie rodzącą już śliwa- nikt z ulicy nie widzi mnie teraz. Gaszę papierosa o parapet i wrzucam peta do pudła stojącego pod oknem; w pudełku butelki po nalewkach, plastik z napisem "naturalny serrek jogurtowy", puste paczki po szlugach, puszki po browarze (z ostawiane dla jednego z kloszardów, który przychodzi co kilka dni i zabiera aluminium) i mnóstwo innych nieciekawych śmieci. W pokoju świeczka i lampa naftowa dzielnie walczą z mrokiem. Błode światło lepi się do plakatów i szablonów na ścianach, brązowa szafa wyrzygała podłużnego pawia koszulek, bluz, spodni i plecaków (jej drzwi ciągle się nie domykają).

Wracam do cyberpunka. Czytam sobie po nocach o interaktywnych w szczepach, bio-wskaźnikach ciśnienia krwi i temperatury. Kłębiam się kable w kolorowych izolacjach, przenośne komputery, interfejsy w brzuchach młodocianych rebeliantów, kończyny przeszczepiane w klinikach, na przedmieściach atakowanych przez bandy zaćpanych wyznawców Obcego Ciała. Co za proza! Tumult, krzyki, niewyraźne dźwięki dochodzące ze zmodyfikowanych, elektronicznych przetwarzaczy "Werbal Act" i powietrze jakże inne od tego snującego się nad moją rudera. Dom pozbawiony tzw. podstawowego oprzyrządowania współczesnej techniki; śmieszna żarówka wisząca pod sufitem, od lat nie karmiona uporządkowanym ruchem ładunków elektrycznych. Nie mam nawet prądu, ale przynajmniej w miarę stabilny dach nad głową, materac ze śmietnika, kilka "mebli" znalezionych na ulicy, stare spłowiejące i śmierdzące chodniki, w których kurz i piasek uwiły całkiem pokaźne gniazdko. Spoko.

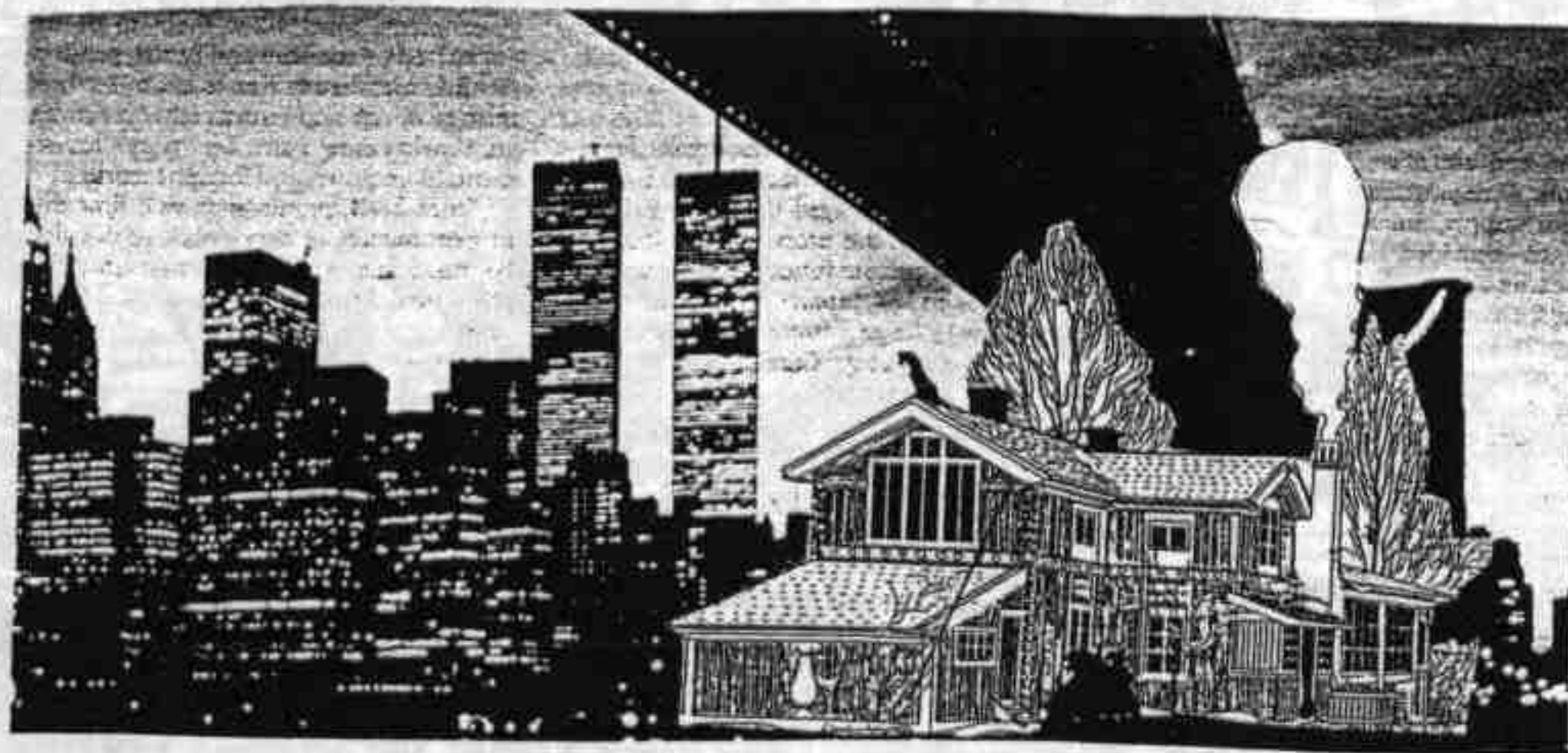
Kolejne kilka kartek pełnych wybuchów z broni chemicznej, smród ozonu, kaski z wbudowanymi monitorami ciekłokrystalicznymi, optimum termiczne: od -120 do 230 stopni Celcjusza. Podkreślam kłopot lampy, rzędy liter znowu pluja wrzaskiem metropolii ściśniętych na jednej z planetoid... Czas podciąć także knot świecy. Radio na baterie, nocne audycje w I programie, leniwe głosy, polemiki od niechcenia na temat losów Marleny Dietrich po II wojnie światowej, potem jakieś katolskie zwidy i ciepły głos ojca dyrektora- po północy zawsze na falach coś się pierdoli, przeskaakuje częstotliwości i łapię radio na ryja, więc dlaczego by nie posłuchać? Zaspany czterdziestolatek dzwoni i mówi o konieczności pokazania prawdy, żeby już nigdy komuna... bo oni zawsze rąbia kamufiarz... czerwona pajęczyna... a wyszyński powiedział... i tak jak nam radzi ojciec święty... misje są darem z nieba... dlatego nie pozwólmy na wyprzedaż majątku... Książka leży mi na brzuchu. Odkrywam się- duszno. Wyłączam radio i wstaję. Świeczka do ręki i idę do "kuchni". Na stole dwie ostatnie kromki

krojonego grahama plus pomidor i słoik papryki konserwowej. Suchy chleb przedziera się przez przełyk i trafia do żołądka dopiero, gdy wspomagam go łykiem octo-wody z paprykowego słoika. Przekręcam łącznik w drzwiach i wychodzę przed skłot, a zaraz za mną przebudzony pies macha ogonem i siada na wycieraczkę. Wyjmuję z kieszeni bojkówkę papierosy, opieram się o barierkę i zapalam. Myślę o tych wszystkich dziwactwach cyberpunkowej literatury, a nade mną rozjebane maksymalnie poddasze, dziurawa rynna zwinięta ze złomu, na dole kibel- szambo.

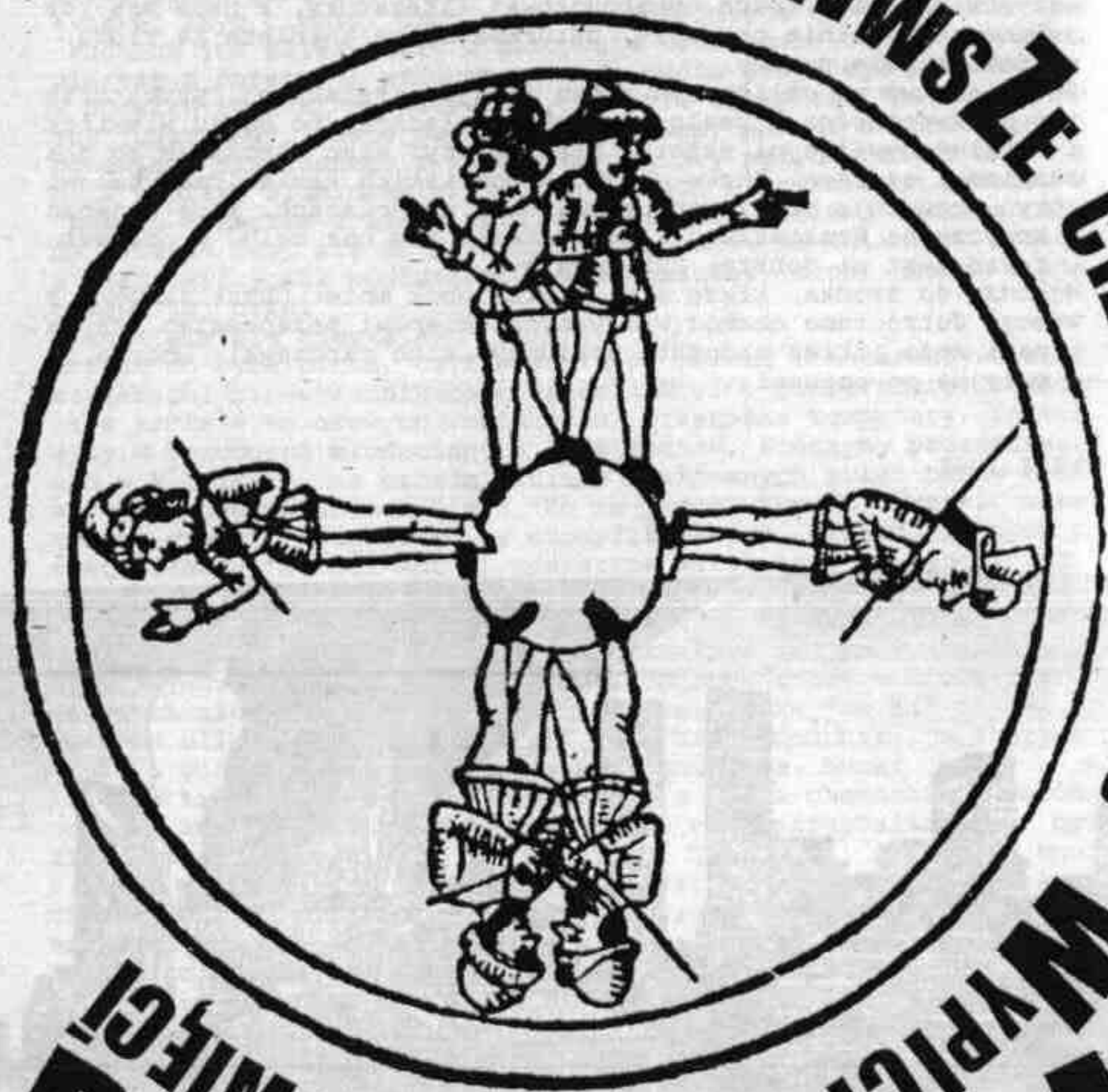
Podobieństwa na delikatnym styku fikcji literackiej, prozatorskiej przewrotności i realnych odgłosów łączącej po dachu wiewiórkę- stałej bywalczynie skłotu. Pies warczy, więc uspokajam go głaskaniem i szeptem. Znowu cisza. W pobliskich kamienicach telewizory produkują błyskawiczne powidoki na ścianach, ktoś najebany krzyczy na Krakowskiej i echo niesie się bez celu. W porządku, teraz jest mi dobrze, tak może być.

Wchodzę do środka, kładę się, a pies obok mnie. Gaszę lampę i świecę. Jutro rano obchód warzywnych sklepów: przepraszam, czy ma pani może jakieś nadpsute pomidory, albo marchewki? Dobrze, to o przyjdę po południu.

VIII.2001



ZACHORO WAŁ KSIĘŻYC WYCHODZĄC NA
UL. ZAPALIŁ FYRTEL CAŁY CO
PRZĘGNIEM SWYM



TSMAZ WYMAZ CIE NIEM OFRUC
WYPICI WSZYSTKICH
POD SKŁADEM SIĘ PODTRZYMUJĄ
GÓWNIE CHODNIKI I POSŁANIA
SZYKUJĄ

szaleństwo szadających
wieszowcy spędzają
szepowiek
pijawa owclock
mój obap
wstał i wyruszył
na zowym am owal
widowystare krowy
studenta Absoluta
i kupił
siowale Zato dwa

ZAKŁAD OBSŁUGI

MINISTERSTWA SKARBU PAŃSTWA

PL 00-522 Warszawa, ul. Krucza 36/Wspólna 6, tel. (0 22) 695 87 38, fax: (0 22) 695 84 34, 621 33 61, tlx: 816 521

Warszawa dn.08.04.1999r.

ZO/AA/ /99

Dyrektorzy
Departamentów i Biur MSP

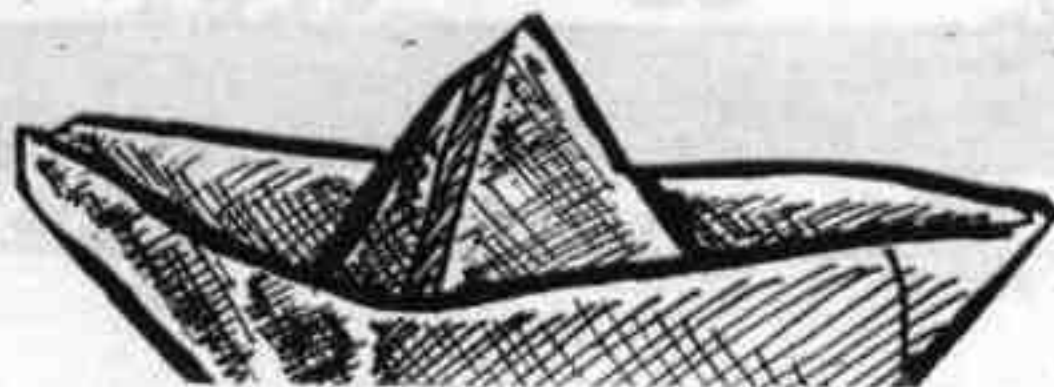
wg rozdzielnika

Uprzejmie informuję, iż w dniu 16 kwietnia w godz.11³⁰–15⁰⁰ przed gmachem Ministerstwa Skarbu odbędzie się zgromadzenie publiczne, którego organizatorem jest Związek Zawodowy Przemysłu Elektromaszynowego.

W związku z powyższym, proszę poinformować współpracowników parkujących samochody w okolicy o konieczności ich usunięcia poza obręb ulic objętych demonstracją aby uniknąć ewentualnych szkód.

Należy też uprzedzić pracowników o unikanie obserwacji demonstrantów z okien pokoi biurowych aby nie spowodować prób rzucania w budynek Ministerstwa petardami i innymi przedmiotami.

DYREKTOR
[Signature]
Jarzy F. Durka



Z R O B I C I M O S Y S A M O C H O D Y	$a + b + x = ?$ $a + b + c + d = ?$ $a + b + c + d = f$	PROSTETIZACJA... *** to znaczy SAMOCHOD BO SAM CHODZI
--	---	---

CO SŁYCHAĆ

Tym, co słuchają organów zaścianka

Gdzie się spieszysz?
Czy do ziemi
Czy obalić bełta w sieni
Czy do huty dziarsko zmierzasz
Czy zbawionym być zamierzasz
Czym dla ciebie jest dziś Polska
Ta w Europie, choć mongolska
Czy wybrałeś bat na siebie
Nowych stróżów w starym chlewie
Jak u ciebie z wyobraźnią
Czy bóg może być twą Jaźnią
Czy pieczywem, co choć białe
Nieuchronnie będzie kałem
Czy też wierzysz tym, co plotą
Przypuszczając żeś idiotą
Że wartości pojałtańskie
Mogą także być chrześcijańskie
Może wierzysz też że w sieni
Wór kartofli w tron się zmieni
Może wierzysz, że to mrowie
Nim na wieczność spocznie w grobie
Tony mięsa, pierdzeń, wzwodów
Jest Chrystusem wśród narodów
Czym dla ciebie jest ta drama
Szprej na murach i pysk chama?
Jeśli nie wiesz, to się zbudź
Do ojczyzny trzeźwych wróc
To co czujesz i w czym żyjesz
Jest psią fermą, w której gnijesz
Psim chorałem wśród opłotków
Przebudzeniem się w wychodku.



OR TRADES.
FRICS. LA-
END US A
YS LOOKING
S GET IN

6305
N AZ.
7
VCLE RD.
CORDINGS
:
RLD
AID U.S.
E NOW!
IG 7" EP
N FEAR"
work.

pochwala
pustki

Nasza szkolna wycieczka skończona
Jesteśmy u celu trwożnie zakrytego
Celu ostatecznego i przerażająco niemożliwego
To pustka
Źródło i topiel
Długotrwała edukacja, sztubacki zapal
I jego owoce - zdolność strojenia nicości
Przyuczenie do zawodu sztukatora, tapeciarza
Oddzieleni błoną niepamięci od Sedna
Odprawiamy rytuały ocalenia
A jednak to ona wyziera nieustannie
Ze wszystkich rzeczy tego świata
Sączy się z kurków banału
Przenika trwogą rutynę patrzenia
Burzy ład zbawiennych obrządków
Czy jednak nie ona właśnie
Daje impuls zachęty
Inspiruje do wypełnienia pustki
Nie tylko pustym słowem
Ale świetlistą iskrą sensu
Zaprasza do rezerwuaru wszechmożliwości
I zdrady mumii dla niewidzialnego źródła
Wyprowadza z nicości koloryt istnienia
Nieuchwytny i przelotny.



*JAK RZUCIM KIEDY PALENIE i PiciE to BĘDZIEM ZYLI W DOBROBYCIE

POZYCZ PAN
STÓWKĘ
BO PUKNĘ
W MAKÓWKĘ



FACET RZNIŁ GŁUPA
A GŁUP GUZA
SZUKA



00

Zbyszka

Lata płyną drogi Zbyszku
Jak gorzała do kieliszków
Płyną lata, czas ucieka
Już pod nosem nie ma mleka
Noce płyną, dzionki płyną
Człek obrasta już rodziną
Wszystko płynie na tym świecie
Płynie woda więc w klozecie
W oceany płyną rzeki
Życie ludzkie spływa w ścieki
Płynie forsa do bankiera
Płyną bełty u Fukiera
Słowa płyną, płynie sperma
Cwaniak pływa, tonie oferma
Fałsz prezesem tej pływalni
Wpędza motłoch do kopalni
Hamburgerem karmi trzodę
W telewizji leje wodę
Pierze mózgi, w Omo gacie
Bydło biega w swym kieracie



Lat trzydzieści osiem żyjesz
Szyldy robisz, wodę pijesz
Widzisz spektakl jak na dłoni
Jak do ziemi wszystko goni
Jak korowód błaznów dumy
Kolorowe zbija trumny
Jeśli widzisz te jasełka
Nie dołączaj do bydełka
Rób co twoje, rób co własne
Choć byś gacie miał przyciasne
I koszulę już nie nową
Nie bij czołem przed Jehową
Nie daj dupy też Mamonie
Czystą duszę miej i dłonie
Kwiaty hoduj, polub wronę
Córę hołub, kochaj żonę
Nie grzeb w nędznym tym śmietniku
Graj we własnym teatryku.

Ob
i
a
z
a
K
i

KSIĘGA KOTLETA CZYLI KRÓTKIE OPOWIADANIE PROWINCYJALNEGO KUCHARZA ROBIĄCEGO KARIERĘ W SIĘCI MC DONALDS

SŁOWA STANISŁAWA KOTLETA, SYNA MIELONEGO, KRÓLA
KUCHNI W BUDCE Z ZAPIEKANKAMI NA DWORCU PKS W
KIELCACH.

ROZWAŻANIA TEORETYCZNE.

nie nowe Go W Gastronomi

„...Cóż przyjdzie mistrzowi patelni z całego trudu, jaki zadaje sobie pod słońcem, w zimnej, drewnianej budce z niedopieczonymi frytkami, starymi flaczkami i banalnymi ruskimi pierogami? Pokolenie, brudnych, dworcowych klientów przychodzi i pokolenie tych żuli bekając z budki odchodzi, a ziemia trwa po wszystkie czasy.

Słońce wschodzi i zachodzi, a ja na przekłety dworzec PKS w Kielcach spieszę i spieszę. Ku południowi ciągnąc i ku północy wracając, kolistą drogą między wiatami przystanków wieje wiatr i znowu wraca na drogę swojego krążenia.

Wszystkie menele, chłoporobotniki, bezdomne i bezrobotne indywidua płyną podbite przez dworzec PKS w Kielcach.

Jedzenie polskich pierogów jest wysiłkiem, nie zdoła człowiek wyrzygać wszystkiego co zjadł w małej budce gastronomicznej na placu dworcowym PKS w Kielcach. Nie nasyci się pierożkami, ani bulonem...”

„...Ja Stanisław Kotlet byłem królem małej gastronomii, na dworcu PKS w Kielcach. I skierowałem swój umysł ku temu, by zastanawiać się i badać ile mądrości jest we wszystkim, co dzieje się w wielkich garach, pod pokrywkami. Przeczytałem też wszelkie książki kucharskie, jakie wydano pod słońcem. A oto: wszystko to marność i pogoń za niczym. To co twarde nie da się ugotować, a czego nie ma nie można ugotować...”

„...I powiedziałem sobie: Sprzedam wszystko, za nim sanepid wparuje do mej małej budki po raz drugi. I sprzedałem wszystko, i wraz z przyjacielem zostaliśmy przedstawicielami MC Donalds w naszym mieście. I stałem się większym i możniejszym niż wszyscy co byli przede mną w Kielcach. I nabyłem niewolników i niewolnice do nowej restauracji i miałem niewolników

*

urodzonych w restauracji. I posiadałem też wielkie stada bydła, które ciągną tutaj bez końca. I nabyłem też śpiewaków i śpiewaczki, zabawki dla dzieci i młodzieży, żeby zawsze przychodzili tutaj, gdy dorosną...”

„...Wszystko tutaj nie ma swojego czasu, i nie ma wyznaczonej godziny i wszystkie sprawy pod niebem nie są ważne oprócz hamburgerów dla klientów. Moi pracownicy nie mają więc czasu na płacz, ani śmiech, na zawodzenie, ani płasy, na szukanie i trawienie, milczenie i mówienie, na palenie, ani na rozwój związków zawodowych.

Przyjrzałem się pracy, jaką koncern obarczył ludzi, którzy tutaj przybyli. Uśmiechniętej, posłusznej, drogiej, młodej załodze w koszulkach z białymi niebieskimi paskami.

Koncern MC Donalds uczynił to wszystko pięknie w swoim czasie, dał im nawet wyobrażenie o prawdziwym świecie, bez socjalistycznych złudzeń i przyzwyczajęń. Nie pojmie jednak człowiek dzieł, jakich koncern dokonuje od początku, aż do końca. Poznałem, że dla niego nic lepszego, niż cieszyć się i o to dbać, by szczęścia w swym życiu zaznali ludzie. Bo też, że człowiek je i pije, i cieszy się szczęściem przy całym swym trudzie – to wszystko dar Boży...”

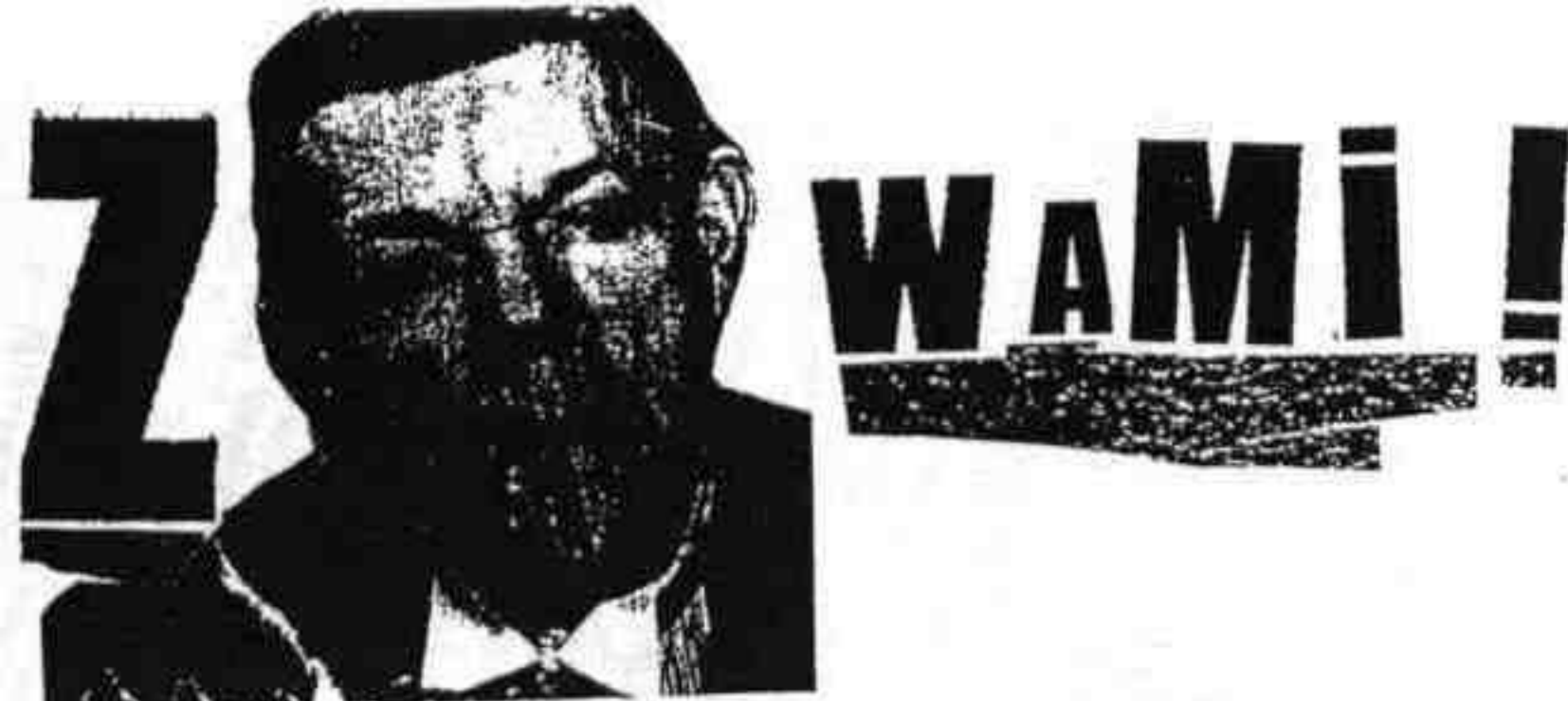
Z fragmentu PIEŚNI WIELKADŹONYCH

.. Nie zna śmierci ni żywota,
Chociaż przeszedł przez Tysona
nokautu wrota,
Taki jest nasz bohater narodowy
Andrzej Gołota...

... Wisi na krzyżu popularności
ulicznej rekalmie
kurdupeł Małysz,
Wielka to kolczyka jego tajemnica,
Płakać za grzechy naszego sportu
już nam nie trzeba,
zbawca nadchodzi, zbawca nadchodzi...



SEN



Sen z wami
Z aniołkami, pastuszkami
Święta Trójca rodem z Grójca
Wiezie siano z Ołomuńca
A księżulo w swej parafii
Uśpić trzódkę sam potrafi

Sen z wami!
Matołami, opojami
Kiedy w hucie płoną piece
Tłumy śpieszą się na wiece
Durnie kłębią się jak w ulu
Bankier pierdzi w Honolulu

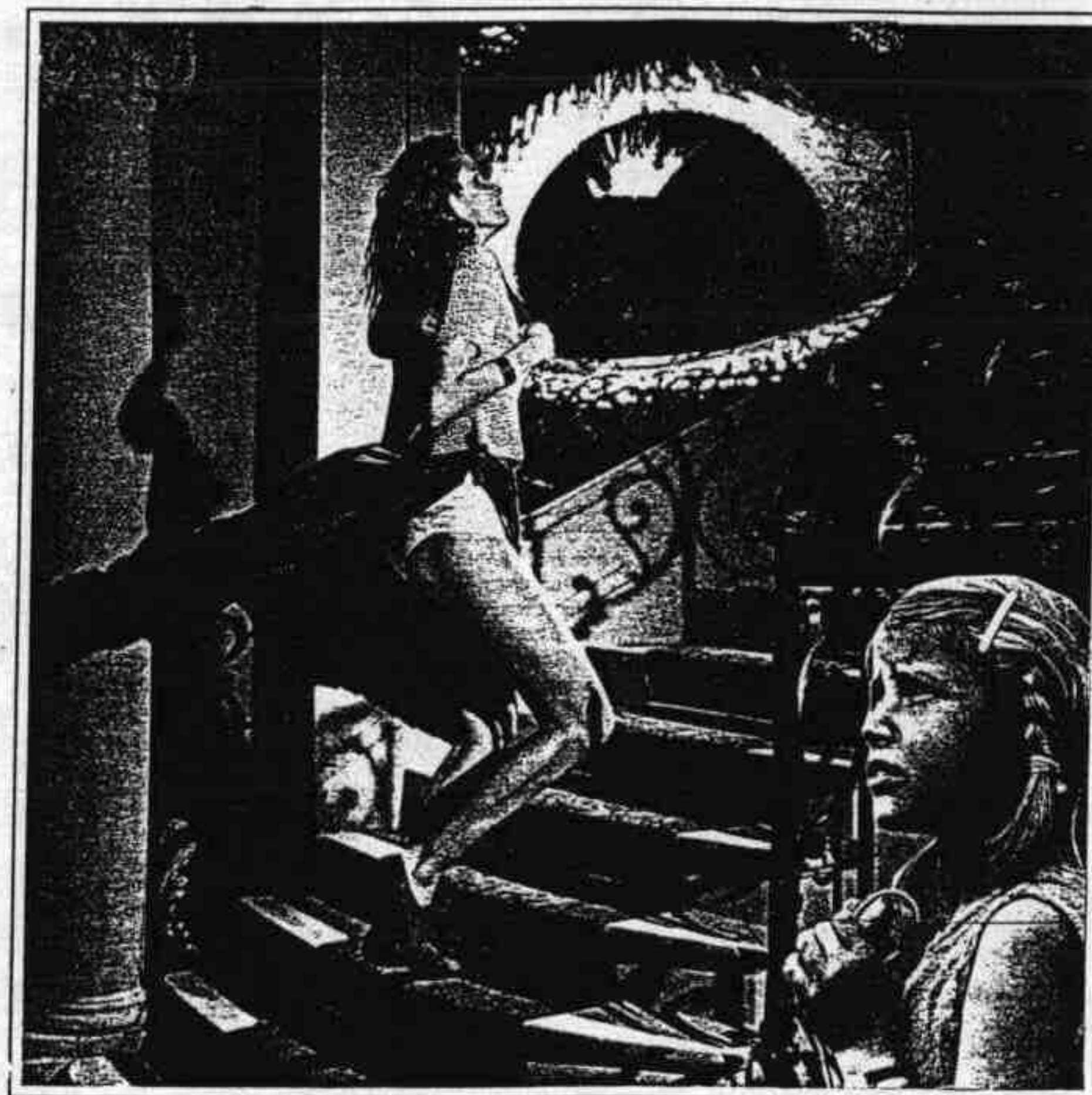
Sen z wami!
Kontestacją, hippisami
Co jest złudą, złudą będzie
Kury gdaczą też na grzędzie
Kolorowe sny na "kwasie"
Wzmocnią system, cny kutasie

Sen z wami!
Artystami, egołami
Czy w oleju, czy też w glinie
Treść przekazu równa bździnie
Słowa, gesty, miny, pozy
W Pacanowie śpią już kozy

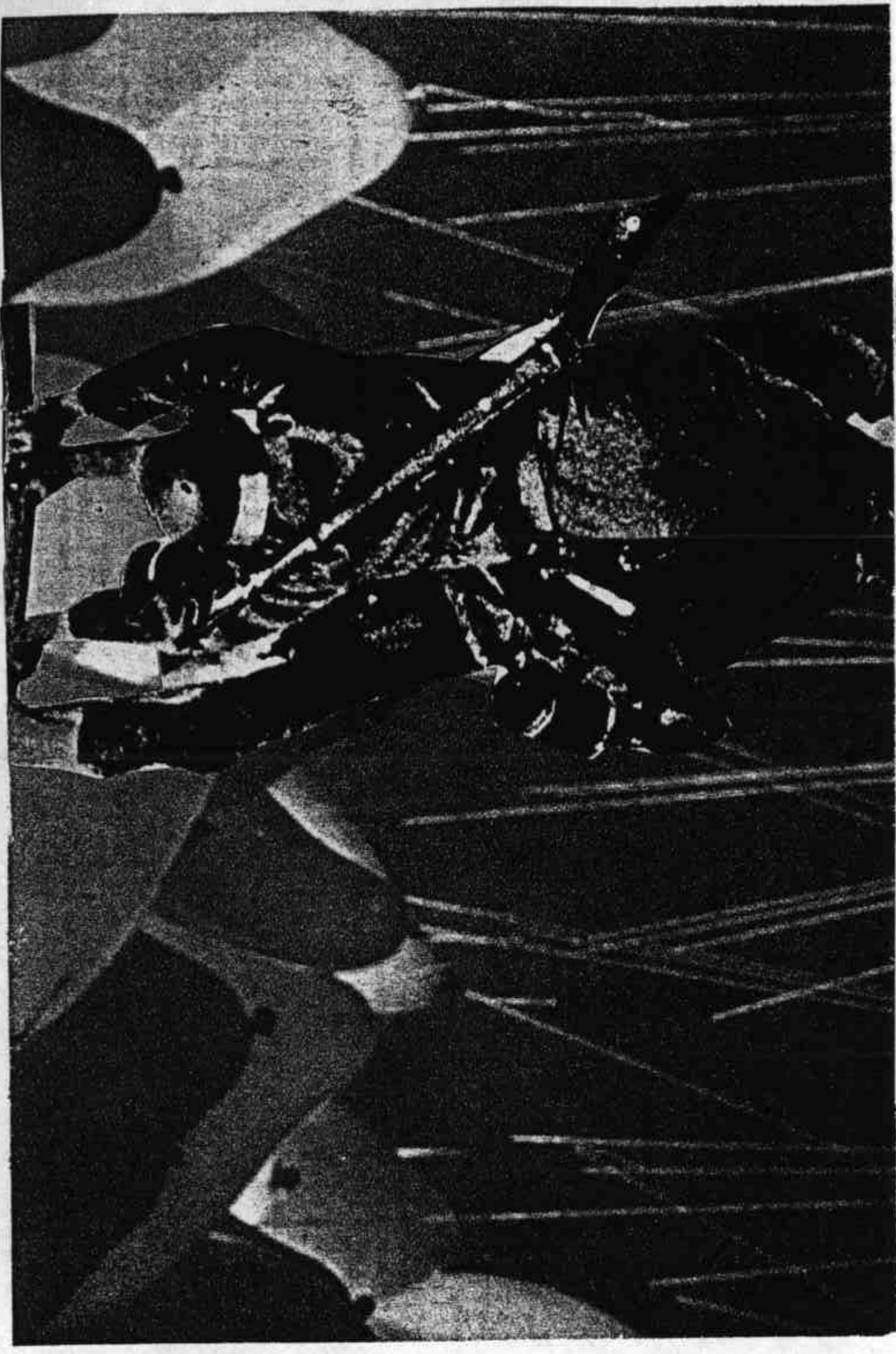
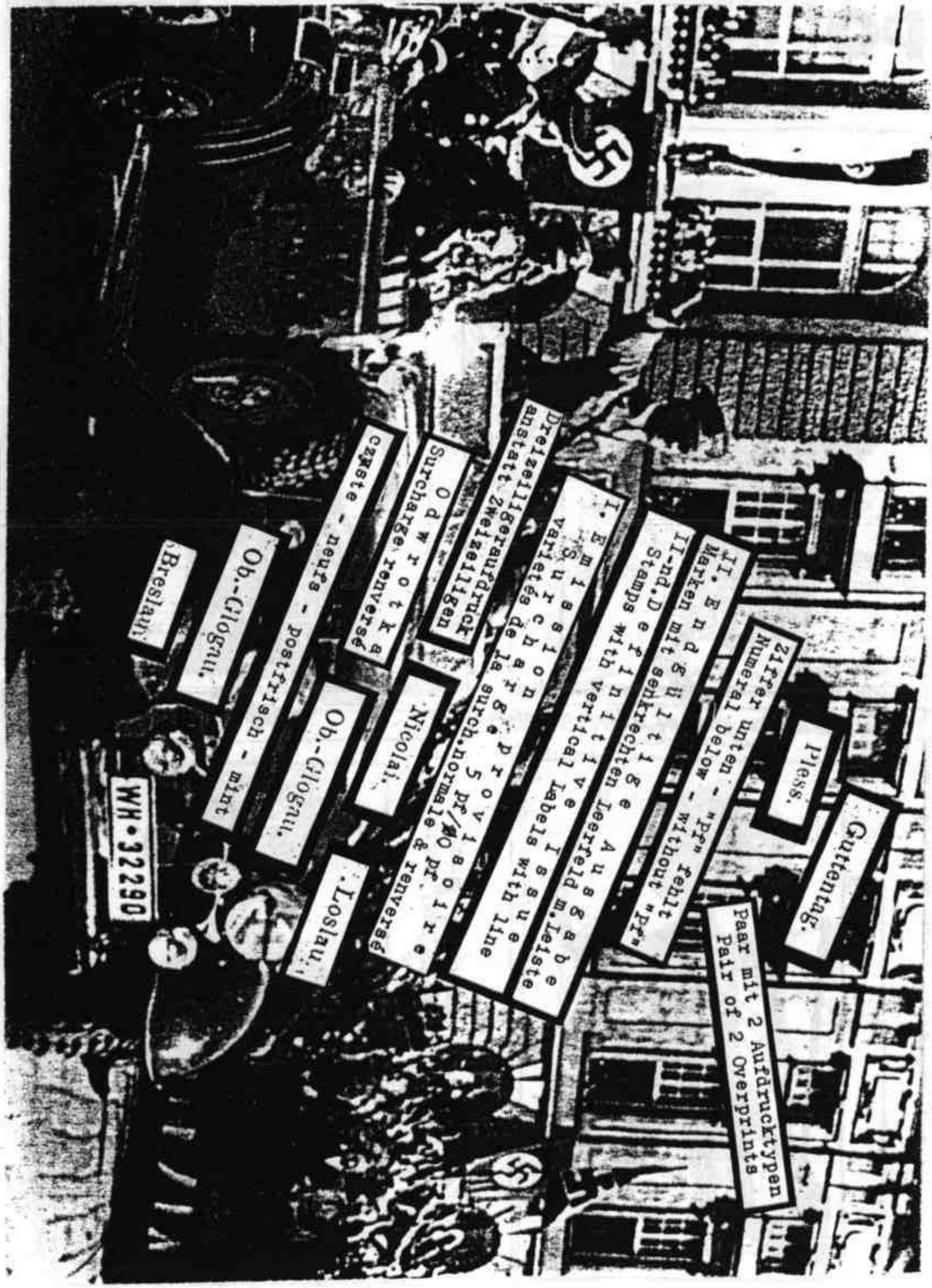
Sen z wami!
Ludzką ciżbą i bogami
Śnią się światy, śnią się bogi
Chór anielski, diable rogi
Sen na jawie i sen na noc
Życzę wszystkim dziś dobranoc!

A kto nie śpi, proszę mamy?
Generały i kapłany
Politycy i bankierzy, stróże kasy
Nie śpią, by w tępcie spały masy.

OKO RCZE goni







POCZET DEMONÓW



Jedza - siedziatka białe pod
spodnieq - albo koto drogi.

mięta w kacie w sypni, albo na boisku
w stadole.

Mamuna - siedziatka w kominie.



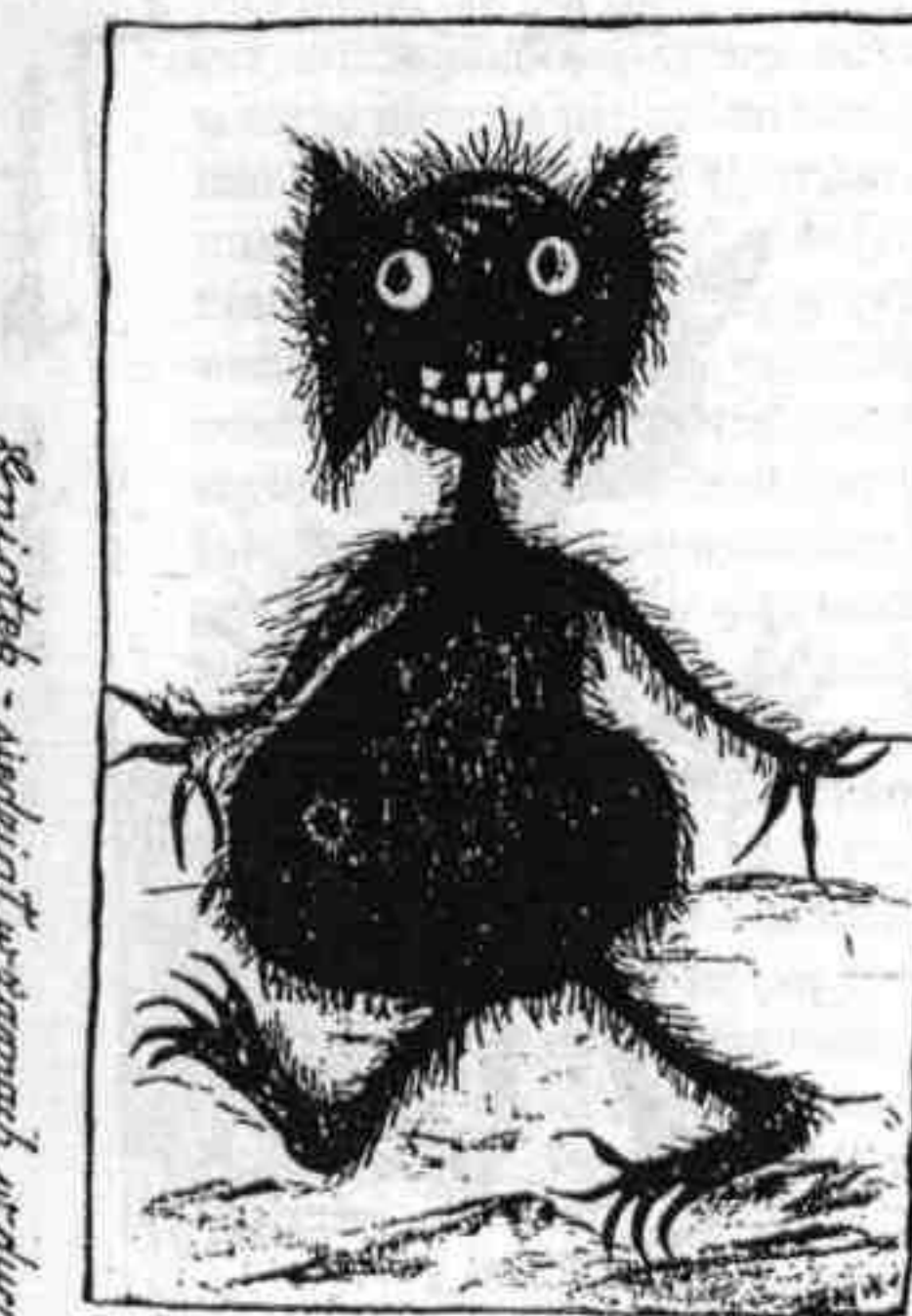
Mała grube wargi do mała podłotki.



Kocmeuch - siedziat pod
progim w stajni. W nocy doli krow.



Gnuczek - siedziat w stajniach w nocy.



Miernik - kręci się gdzie były
pomiaru pól - placów drog - jak
swiatetko.

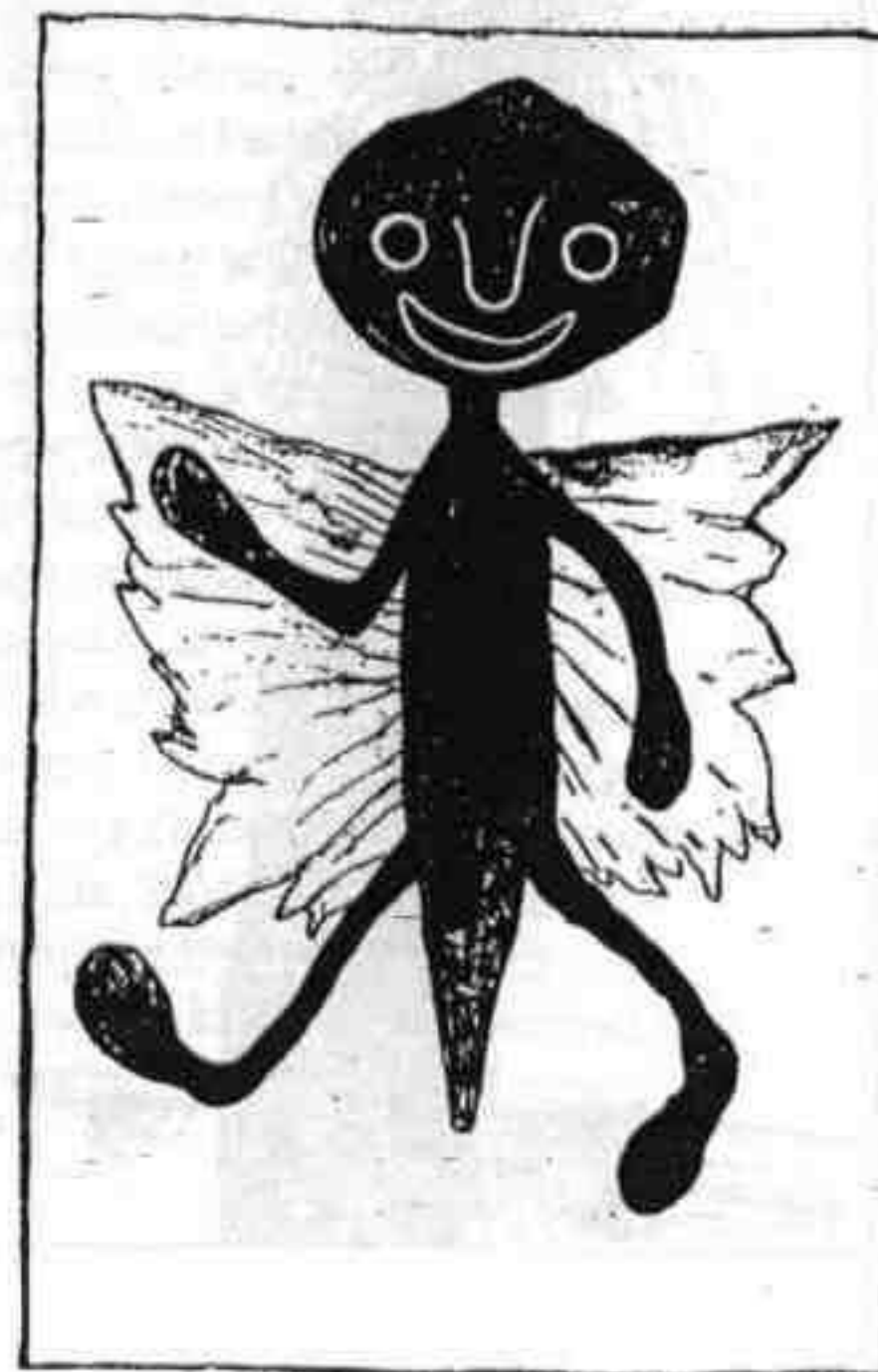
gniott i dusit ztych ludzi i pijakow.



Lapiduch - siedziat na



Błotnik - siedziat na mokrych



potach, kłakach i kucieci w nocy.

pusztkowiach.

Mrucek - siedział na piecu
albo na przypiecku.



mieli chorować na tą przex wies.

Zaraza - cholera - gdzie ludzie



Śmęda - siedział pod miedzą - straszyl



mor w lipcu

arzewach.



Wisielec - siedział na belkach w stodole i na

tych co wypasali konimi i baby te,

Spotkanie

Półudniocy



Potudnica - chodzi w potudnie
po polach i drogach polnych.

Ojciec chodził ze mną na spacerzy za miasto. Mówił do mnie: Marzenica. Bardzo to lubiłam, bo jawił mi się wtedy bardziej poufały, sprężysty i zawadiacki, naprawdę godny podziwu i uwielbienia. Kiedy wychodził z miasta z jego twarzy zniknęła powaga i pojawiała się radosna promiennosc. Nie były to dalekie spacerzy, bo miasto okolone było osadami i malowniczymi wioskami, do których wiodły polne drogi porośnięte przysadzistymi, bulwiastymi u korony wierzbami. Tato mówił mi kiedyś, tak pół żartem, pół serio, że w koronie takiej wierzby przydrożnej lubią mieszkać skryte w gęstwinie liści czarownice i rzucać urok na niczego nie spodziewających się przechodniów. Kiedy okazałam leki strach i niepewnie śledziłam każdą mijaną wierzbę, tata złożył uroczyste sprostowanie, że to tylko głupie gadanie ludzkie, a żadnych czarownic nie ma na świecie, tylko w bajkach i chorej wyobraźni. Ale ja wiedziałam swoje, bo byłam dziewczynką o bujnej wyobraźni i wrażliwości na świat nadzmysłowy, a niedostrzegalne impulsy budziły złowrogi i niesamowite skojarzenia, raz na jawie, a innym razem we śnie. Bo prawdę powiedziawszy, to strasznie lubiłam się bać, dostawać gęsiej skórki na myśl o wilkołakach, z którymi przeżyłam wstrząsający lecz oświecający epizod, a także wampirach, strzygach i upiorach, które dzięki swej baśniowej niesamowitości nadawały ostrego kolorytu wyblakłym barwom codziennego życia. Wizje mitycznych postaci uczyły mnie życia. Lubiłam się bać i kochać, bo wtedy właśnie czułam, że żyję i to życie jest porywające i cenne, a ja bardzo nie chciałam bym go stracić.

Ale wtedy zdarzył się ponownie przypadek, który utwierdził mnie w przekonaniu, że za zasłoną naszej codziennej wiedzy i wygodnego urządzenia świata, czają się zjawiska, o których nikt nie chce wiedzieć, bo zaledwie rozpoznane, raz na zawsze otworzą nam oczy na głębszy

wymiar życia. Ale dla mnie, przewrotnie lubującej się w strachu, to, co wtedy zobaczyłam na wiejskim podwórku, było przerażające, ale także fascynujące i złowróżbne. A, że nie podniosłam wrzasku, tylko stanęłam jak ośłupiała, nikt nigdy nie dowiedział się o mych złowieszczych widzeniach tutaj i kiedyś w lesie. No więc kiedy w upalny dzień weszliśmy z tatą na wiejskie podwórko, aby napić się wody, zobaczyłam ją po raz pierwszy. Znalazł się na porośniętym trawą podwórku, w której sennie grzebały kury, przy niewielkim, krytym czerwoną dachówką domku, zobaczyliśmy starego mężczyznę w kraciastej koszuli z podwiniętymi rękawami, rąbiącego drewno na pniaku. Zamierzał się właśnie podnieść nad głową siekierą do rozłupania ustawionego na pieńku polana, kiedy zachwiał się, zatoczył i wypuściwszy siekierę z rąk runął na plecy. Upadłszy leżał bez ruchu. Tato natychmiast wbiegł do wiejskiego domu zaalarmować gospodarzy o zasłabnięcie leciwego dziadka. Ja zaś zostałam na podwórku i przypatrywałam się w nerwowym podnieceniu leżącemu bez ruchu starcowi.

I wtedy na arenę codzienności wkroczyła niezwykła postać. Od strony stodoły podążała bezszelestnie ku leżącemu mężczyźnie wysoka, chuda kobieta, obleczona w białą szatę. W ręku trzymała duży, bezkształtny przedmiot, który zaraz zidentyfikowałam jako worek. Miała bladą, alabastrową cerę i wielkie, czerwone, rozwarłe usta, w których dostrzegłam rząd wielkich, złowrogich zębów. Kiedyś obita mi się o uszy nazwa: południca, określająca strzygę, a w zasadzie prasłowiański obraz chłopskiej śmierci, która przychodzi do powalonych skwarem letniego południa i znojem pracy ponad siły, zabrać „wyzionętą” duszę i unieść ją w zaświaty. Natychmiast zrozumiałam, że widzę południcę i że nic nie uchroni nieszczęsnego starca przed utratą życia. Stałam więc urzeczona tym niezwykłym zjawiskiem i wpatrywałam się w bezszelestny rozwój wypadków. Zrządzeniem losu byłam dziewczynką, która otrzymała wrażliwość umysłu na postrzeganie zjawisk niewidzialnych dla innych, obserwacji ludzkiej aury i spotkań z fantastycznymi tworam, w które to w moim umyśle przekształcały się wszelkie energie natury. Nie bałam się tych zjawisk, lecz nie rozmawiałam o tym z rodzicami, a wszelkie kwestie ich prawdopodobieństwa lub baśniowej proveniencji dyskutowałam z ojcem po przeczytaniu wskazanych przez niego lektur z dziedziny etnografii i antropologii. Muszę przyznać, że nie byłam zbyt oryginalna w tej dziedzinie, a postacie z moich wizji były bardzo podobne do europejskich i azjatyckich postaci z panteonu demonów i duchów domowych.

Obserwowałam więc scenę, która fascynowała mnie, ale nie przerażała. Tymczasem południca podeszła do leżącego na ziemi i stanawszy u jego głowy wyciągnęła przed siebie, otwartą w geście chwytania, białą jak wosk dłoń. I wtedy z ust leżącego uniósł się powoli ku górze szary, pulsujący obłoczek, który miał niewątpliwie ludzki

kształt, więc w mig zrozumiałam, że to dusza starca, która opuściwszy w śmiertelnej rozłace ciało, wpada w łapska południcy. I stało się tak, że dłoń strzygi ogarnęła i zwinęła w kłębek wyzionętą duszę i zaraz bezszelestnym ruchem wpakowała ją do wora, który mocno skrećiwszy, zarzuciła sobie na plecy i odwróciwszy się w stronę stodoły ruszyła wolno ze swym trofeum ku nieznanym krainom pozaświatowym. Kiedy doszła do drewnianej ściany stodoły przeniknęła przez nią w głąb i zniknęła mi z oczu.

Wtedy zobaczyłam, że przy leżącym starcu klęczy młoda, bosa, kobieta opasana kuchennym fartuchem i z kubka z wodą, który trzyma w jednej ręce, wychlapuje na stężoną twarz starca krople ożywczej wody. Zaś ratunkowej operacji przygląda się para dzieci, zapewne rodzeństwo, chłopiec i dziewczynka, opaleni na brązowo, w samych tylko, białych, bieleżnianych majteczkach. A kiedy z domu wybiegł mój tata w towarzystwie rozebranego do pasa mężczyzny, z wytatuowaną na lewym ręku niezgrabną, nagą kobietą pod palmą, ja też podbiegłam do zgromadzenia rodzinnego, spieszącego z beznadziejnie już nieskuteczną pomocą. Ojciec wykrzyknął krzepiącą wieść, że pogotowie już zawiadomione, bo szczęśliwie natychmiast się połączył z dyżurnym. Ojciec był pełen nadziei, że szczęśliwy traf posiadania przez sołtysa, czyli tatuowanego mężczyzny, telefonu w chałupie jest gwarancją dobrego zakończenia tej wstrząsającej dla rodziny przygody. A ja tylko pomyślałam, ile to płonnej nadziei żywić będą do momentu przyjazdu karetki na sygnale, ci wszyscy zatrwożeni i bezradni ludzie. Coś mnie tknęło i w z nagłą zapadłej ciszy, donośnym głosem wymówiłam te słowa:

- Na nic już nasze wysiłki. Południca zabrała duszę zmarłego na tamten świat i nic mu już nie pomoże. Trzeba pogodzić się z tą śmiercią.

Wszystkie oczy zwróciły się na mnie. Czułam, że te spojrzenia przeszywają mnie na wylot. Czułam, że moje słowa zabrały im drogocenną flaszeczkę życiowej narkozy, czyli nadziei. Zabrały więc im pomoc, w cichości hołubioną deskę ratunku, ludzki oręż do walki z koszmarem, który na nich spłynął niczym gradowa chmura. I pierwsza nie wytrzymała kobieta. Z jej ust trysnęła nienawiść:

- Ty paskudna gówniario! Jak śmiesz wygadywać takie podłe bzdury!

Nie powiedziałam już nic. Poczułam tylko, jak tata chwyta mnie za rękę i bez słowa wyprowadza na piaszczystą drogę. Przez chwilę czułam, jak ścigały nas jadowite spojrzenie pozbawionych nadziei. Po chwili tata odezwał się:

- Jeśli widziałas coś, czego nie widziały nasze oczy, to jesteś istotą wybraną.

Przypominałam sobie te słowa, kiedy tego pamiętnego dnia ojciec wsiadał z mamą do samochodu, a towarzyszyła im południca. Ale oni nie słyszeli mego krzyku zza okiennej szyby...



POŁUDNICA ODMIENIAJĄCA DZIECKO

Jednego razu południca wymieniła dziecko pewnej kobiecie, za które podłożyła swoją kalikę. Ktoś poradził matce, żeby wziąć tego podrzutka i wynieść na rozstajne drogi, tam gdzie bydło wydeptało ścieżki. Położyć je w tym zagłębieniu i niechaj dzieci goniące krowy wieczór z pastwiska do domu biją kijami kalikę tak, aby ona głośno płakała. Kobieta postąpiła jak jej poradzono. Kiedy pod-

rzutek darł się wniebogłosy, przyleciała południca i tak powiedziała do kobiety: „To ja dziecko twoje obserwuję (pielęgnuję), a ty moje dziecko każesz bić?” Wtedy cisnęła na ziemię zabrane dziecko ze złością. Następnie wzięła swoją kalikę i odeszła. Ale odzyskane dziecko nie żyło długo, bo je południca rozbila o ziemię i wkrótce zmarło.

diabełska ręka na twarzy chłopa

Pewien mieszkaniec Wydrzy spod Grębowa znalazł się raz w piekle i stamtąd nazad się wrócił ... Orzył on przez całe dopołudnie i ciągle przeklinał: „żeby cię diabli wzięli!” bo mu woły nie chciały dobrze chodzić. W południe przyjechał do domu. Na ławie pod oknem położył się spać i tam umarł, ale tego nie spotrzyła ani jego żona ani dzieci. Poszedł więc na drugi świat, a Pan Bóg kazał mu pójść do piekła. Cóż miał zrobić, musiał iść ... Kiedy przyszedł do piekła, stanął na progu. Zaraz też zbliżył się do niego diabeł, bardzo straszny i chciał go wziąć. Wtenczas on krzyknął: „Jezus, Maria, Józefie św.” Za to diabeł trzasnął go w pysk. Chłop upadł na ziemię i tak się obudził. Żona spojrzawszy na niego, zapytała zdziwiona: „Wojtek, bój się Boga! przecież na gębie znać ci całą rękę, czyżbyś tak twardo spał i odgniół ją sobie?” Wtedy chłop wszystko jej opowiedział, a na twarzy długo nosił znaki od diabelskiej ręki.

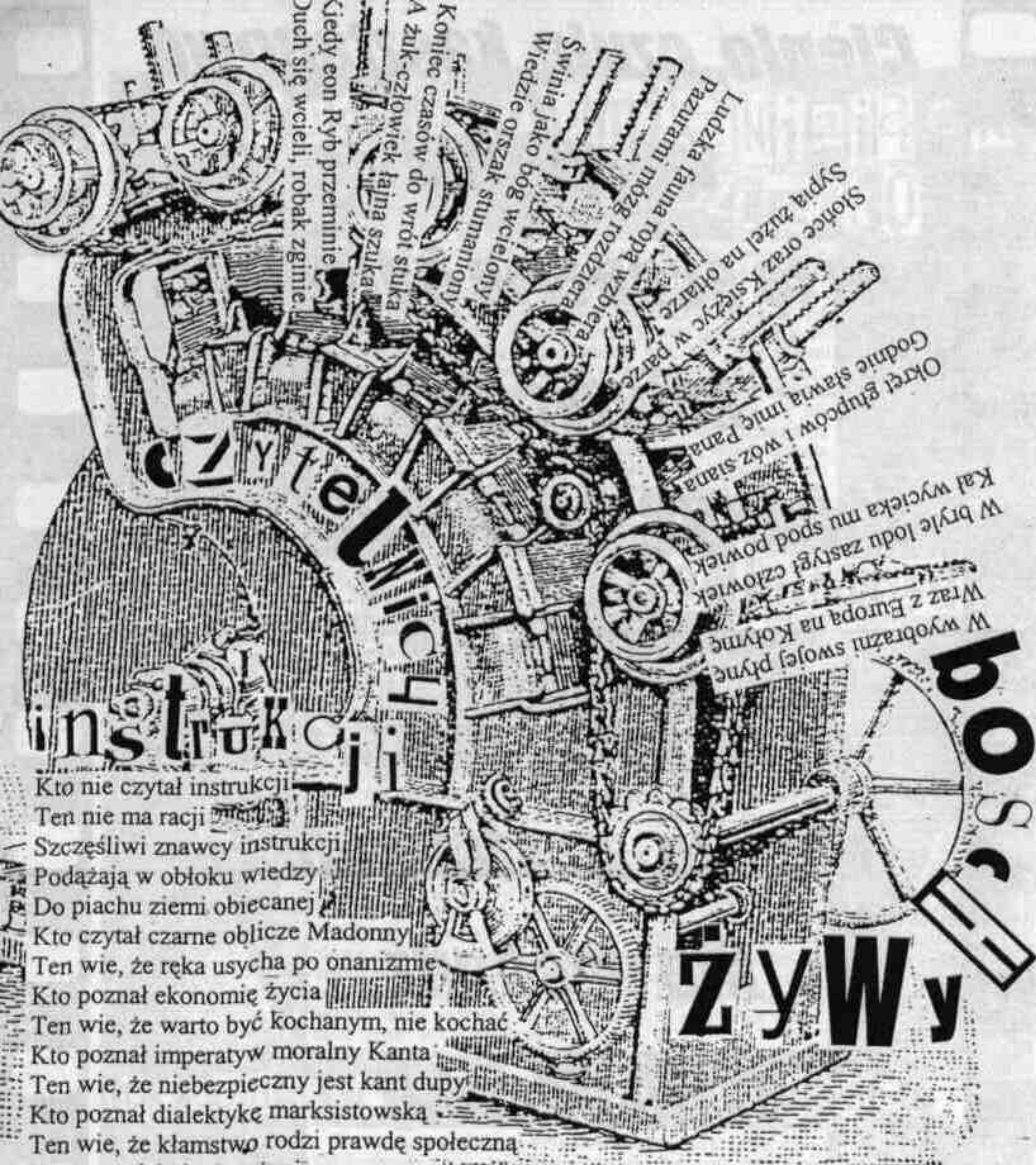
południca sprawdziła nieszczęście

Przed pierwszą wojną światową miał się zdarzyć w rejonie Rozwadowa następujący wypadek. Pewnego razu wracał z pola mąż z żoną, siedząc na wozie na niewielkiej stercie siana. Wtem z dala pokazała się południca, która zbliżała się do jadących i nagle znikła przed wozem. Wkrótce potem kobieta spadła z wozu na ziemię tak nieszczęśliwie, że w niedługim czasie zmarła z potłuczenia.

**Ciepło, czule, kasztanowo
wtopić się
w tę scenerię bajkową,
księżycową...
Śpiew gęsi odlatujących,
całujących
to, co było i minęło,
odeszło, westchnęło...
Nie odchodź,
tylko pocałuj
tutaj,
na skraju...**

they reveal in the end is that the number of possibilities is infinite in the main to intuition. They are permeated with passion for the is a great deal of mystery in Orzba's drawings and their message into words, which causes one to stop for a long while to consider senses behind the analysable surface deep emotional resonance Orzba's rational compositions impose upon the viewer very powerful infinity. Perhaps this has the most significant effect on the builds a unique system of spatial references, leading the eye to element of motion into the static, balanced system. Above all

complexity, the position of the axes of symmetry, and proportions. This consistent geometrical rigour is at times contrasted with less rigid forms such as traces of folds and creases of paper, first thoroughly examined and then carefully selected for a given composition. Their specific, capricious rhythm is superimposed on the strict, disciplined course of straight and circular lines, which creates a basis for striking light effects. Light, focused and refracted on the edges of the forms, at times uniformly scattered, more



Kto nie czytał instrukcji
 Ten nie ma racji
 Szczęśliwi znawcy instrukcji
 Podążają w obłoku wiedzy
 Do piachu ziemi obiecanej
 Kto czytał czarne oblicze Madonny
 Ten wie, że ręka usycha po onanizmie
 Kto poznał ekonomię życia
 Ten wie, że warto być kochanym, nie kochać
 Kto poznał imperatyw moralny Kanta
 Ten wie, że niebezpieczny jest kant dupy
 Kto poznał dialektykę marksistowską
 Ten wie, że kłamstwo rodzi prawdę społeczną
 Kto poznał śmierć za życia
 Ten wie, że słodko jest umierać za ojczyznę 1.
 Kto poznał zbawczą misję kartofla
 Ten wie, że najlepszy jest w płynie
 Kto nie czytał instrukcji
 Ten nie ma racji
 Błogosławieni poinstruowani
 Ich będzie królestwo niebieskie, czarne, czerwone
 A może bezbarwne, przez pomyłkę.

*

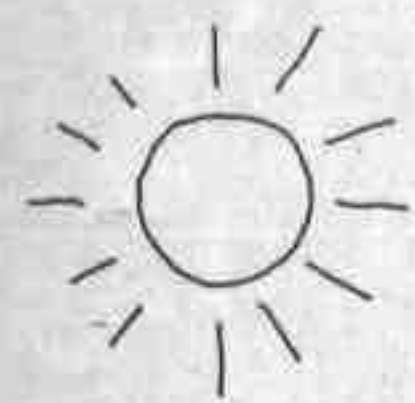
mOIM dzleciAroM

Kochane gzubki, mile dzieciary i rozbestwione colkiem ogary,
 moje kowboje i indianery, których uskrócić nie mógłby szeryf,
 knajdry, nadrachy, szkraby, latyndry, szaranki, gzubki, pagle,
 wylyngi, fífne chłopyszki swojygó chowu, z którymi diabeł by nie
 spilował, wielgie ginole, drobne pyndroki i uślabrane zawdy
 szudroki, szteny z Jeżyc i wybilokna, roboszki moje, wiaruchno
 psotna,

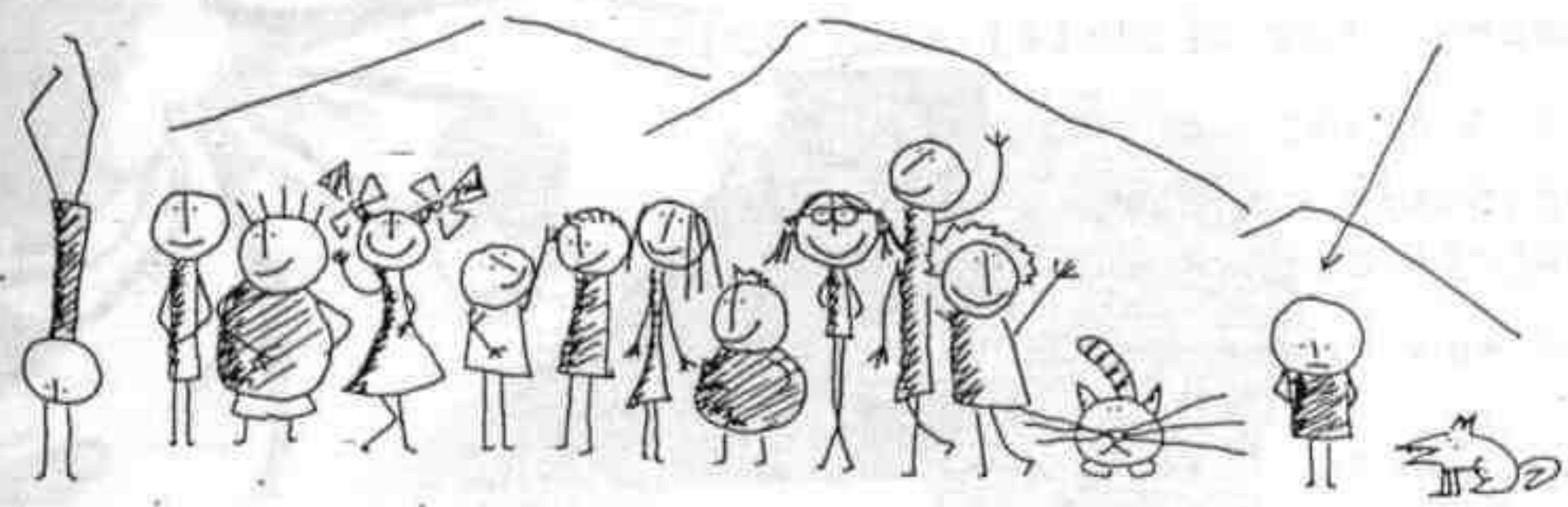
Wy, psionordy, tygrysy dzikie, co to lubięją sztachnąć się ćmikiem,
 co klamotami do drzew świgajom, skorno do lasu ekom wyknajom!
 O, lebskie szczuny i wy - tuleje, którym za letko wśród juchów nie
 jezd!

Wy, co mi ciyngiym kalafy drzecie, co się po wyżkach zawdy
 skrobiecie, wy - co mi kolki na łbie ciosocie - obuzki moje, nojlepsze
 z pociech...

Gdybym w sew rynce głąbnoł wos krzepko, tobym wom cheba
 naluchoł ździebko, w sklepie kozolbym przebiyrać pyry,
 gwizdnolbym w pape i dolbym wciyry, potym bym drapnął za leb za
 piyrze i na powietrze wyćpilbym świeże, dolbym wom kejtra albo
 kociambra, śrupa bym skibnoł dla wos od bambra,
 sosyski dolbym wom z drzuzgowkami, życie bym cukrzył dla wos
 klymkami, za mare z bejmem kupiołbym, ciocho, bo wos, luntrusy,
 przebrzydłe, kochom!



TEH CHŁOPCZYK JEST
 SHUTNY BO PIES I KOT
 CIĄGLE SIĘ KŁOCĄ I KŁOCĄ.



WYKŁADY NASZE SĄ LA LA LA, LA LA LA...

Dziś na który Czekam

Mój Chrystus
będzie miał dynamit
w dłoniach, a jego
uczniowie karabiny
zemsty na zgarbionych
plecach,
Apostołowie jego
od peronów dworca i
noclegowni przyjdą.
Różgą Żelazną pasł
będzie bary szybkiej
ostatniej posługi.
Herodmarkety przewracał,
zanim przed Sanhedrynem
i Komisją Episkopatu stanie
Bowiem, jak złodziej przyjdzie
w tym prawym i coraz
świętszym państwie.
Ujrzę ziemię Nową
Niebo Nowe, gdy Era Gsm
przeżenie



Cukierek albo PRZEMOC

Pokemon Pikachu, Batman i Żebrak zadzwonili do drzwi Sulickiego. Do niego też coś mieli. Rozganiał ich kiedy grali w piłkę koło garażu. I kiedy złapał Zygmunta, przebranego teraz za Pikachu, na pale -niu papierosów w śmietniku, naskarżył jego rodzicom. Zygmunt wtedy dostał baty. Porządne baty. Sulickiemu też należały się baty. Byli poprzebierani, ale po wszystkich okolicznych blokach biegały dzieci poprzebierane tak jak oni. Albo inaczej. Rodzice po raz drugi we współpracy z firmą ochroniarską pilnującą ich bloków zorganizowali dla dzieci Halloween.

Sulicki otworzył drzwi. Uśmiechnął się do nich.

- Cukierek albo przemoc.

Sulicki zastygł zdziwiony. Igor, przebrany teraz za Batmana, się -gał do nagości stóp Sulickiego wystających z kłapek. Trzymał elektr oszoker. Facet runął na korytarz. Wiktor pozbiierał batony, które wysunęły mu się z ręki. Pikachu spisał mu twarz gazem paraliżują -cym. Kopnęli go jeszcze po razie i uciekli. W sąsiedniej klatce schodowej mieszkali Rechetowie. Wiktor już raz odpłacał im się za to, że skarżą jego rodzicom. Porysował im karoserię ich forda. Jego rodzice zapłacili - Rechetowie widzieli go z okna - i przeliczyli to na razy paskiem. Wiktor jeszcze tydzień później wolał kucac niż siadać. Otworzyła im Rechetowa. Była w półoficjalnym wieczorowym u-braniu domowym.

- Cukierek albo przemoc.

Roześmiała się. Igor potraktował ją elktroszokerem. Zygmunt poz -bierał batony, które rozsypały się na podłodze. Wiktor podważył jej zęby nożem i wlał jej do ust krople. Była szczupła, energiczna, zde -cydowana. Jak cyborg. Igor zwinął swojemu staremu afrodyzjaczek w kropelkach. To mieli dla niej. Ruszyli do trzeciej klatki. Mieszkał tam Dybuła, policjant. Do niego mieli coś wszyscy, każdy z osobna i wszyscy razem, za całokształt i postawę ogólną. Dla niego mieli coś specjalnego. Zapukali. Otworzył im. Udając przerażenie z uśmie -chem na twarzy podniósł ręce.

- Cukierek albo przemoc.

Zarechotał łapiąc się za kolana. Igor wykorzystał moment. Kiedy Dybuła runął na posadzkę. Skoczyli na niego we trzech. Dybuła nie miał batonów, za to jego kieszeniach znaleźli pieniądze. Wiktor z Zygmuntem zrobili mu zastrzyk w żyłę pod kolanem. Morfinka. Skubnęli ją babci kolegi z klasy, u którego byli z wizytą. Pomalowali mu twarz markerem. I kopnęli na pożegnanie po trzy, cztery razy.

Wrócili do swojej klatki schodowej, mijając kilka grup przebie -rańców. Zewsząd słychać było śmiechy, piski, jęki i krzyki. Idąc dzieli się batonami. Największe wzięcie miały te z waflem w środku, albo z prażonym ryżem. Mieli batony. Mieli też pieniądze. Byli prze -brani, a wokoło było pełno takich jak oni. Spokojnie więc wrócili do domów, rozbierając się w mroku na półpiętrze ze swych kostiumów. Można iść spać. I zapamiętywać na następny rok. Na następny Hello -ween.



Wiedza

1
LUDZIE CHCA
NAUCZYĆ SIĘ
TEGO, CZEGO
NAUCZYĆ SIĘ
NIE MOGA.



3
DYSKUTUJA
O TYM, CZEGO
SIE NIE DA
OKRESLIĆ..



CHCA OPANOWAĆ TO,
CZEGO OPANOWAĆ
SIE, NIE DA.



2

DZIAKANIE
NATURY
POLEGANIE
KONCZĄCYCH
SIE PRZE-
MIANACH.
POWTARZANIE
TEGO, CO
JUŻ BYŁO,
NIE ROZNI
SIE OD
ŚMIERCI.

5
JEŚLI KTOŚ
POSTĘPUJE
INACZĘJ,
JEGO NATURA
PONIESIE
STRATĘ.



4
W POSZUKIWANIU
WIEDZY MUSIMY
UMIEŚCIĆ CEL
POZA GRANICAMI
POZNANIA.



4

męczy mnie obecność świata
męczy mnie obecność siebie
gdy nie ma mnie we mnie
gdy nie ma świata we mnie
wyszliśmy razem na piwo i dziwki

Ostatni twój

posiłek

przed

szmartwuchwstaniem

być mógł

spokojnie zasnąć

Ostatnia myśl

Wytwórnia ich myśli zapadła się
Na jej zgłiszczach wyrosła
wylegarnia bzdur

Szybko dotarła do słońca
zakrywając je-
rzuciła cień
zostawiając jedyną myśl -
obawę o przebarwienie
pomarańczowej strony fleka

DZIENNIKARSKIE KŁAMSTWA

Łysy dziennikarz wymazywał długopisem artykuł na
temat: sensowny absurd w precyzyjnym chaosie.
Przez pomniejszające szkło, ze wściekłym spokojem,
obserwował bakterie, które rozgrywały błyskawiczną
partię szachów w zwolnionym tempie.
Jak to dostrzegł, to mu się na głowie bujna łysina
zjeżyła.

Prawdziwym jego kłamstwem była opowieść o gładkich
gąsienicach, które urządziły sobie wyścig sprinter-
ski na 100 m. po szyi żyrafy.
Tak uczciwie oszukiwał, że prawie na 100% mu uwie-
rzyłem.

Teraz niech zdrowo choruje.
W ten sposób został nagrodzony karą również za to,
że posypywał suchą wodą miękki kamień, który stał
się tak sztywny, jak trzęsąca się galareta.

Jestem

Nie jestem wiatrem,
który przewieje chmury
Nie jestem deszczem,
który wymyje cuchnący
brud
Nie jestem smrodem -
unoszonym przez wiatr.
Jestem człowiekiem
stąpającym po gównie.

Widziałem miłość
była wygłodzona
chuda
głowę miała spuszczoną
Snuła się ulicami
jak bezdomny pies
Była tak biedna
że z nadmiaru ubóstwa
była bogata
gdyż, bogactwo to nadmia
Widziałem miłość
krzyczała chleba
nie było nikogo
kto by ją nakarmił
Ona już nie jest głodna
nakarmił ją żebrak
kawałkiem wiatru
napoił kroplą deszczu
Uniosła głowę
zauważyła słońce

Krzywdą

Płacze powykrzywiany świat
znieskształcony, skulony
drży gdzieś w kącie.
Bola go wgniecenia po palcach
wskazujących miejsca
wymagające naprawy.

Siła wiatru

Nazywają nas brudem ulicznym
lecz oni nie wiedzą
że nasza siła tkwi
w wietrze

Kiedy mocno wieje
wówczas my
tumany kurzu
rzucamy się w oczy tym
którzy przed chwilą
deptali nas

Piasek z wstał Pociąg

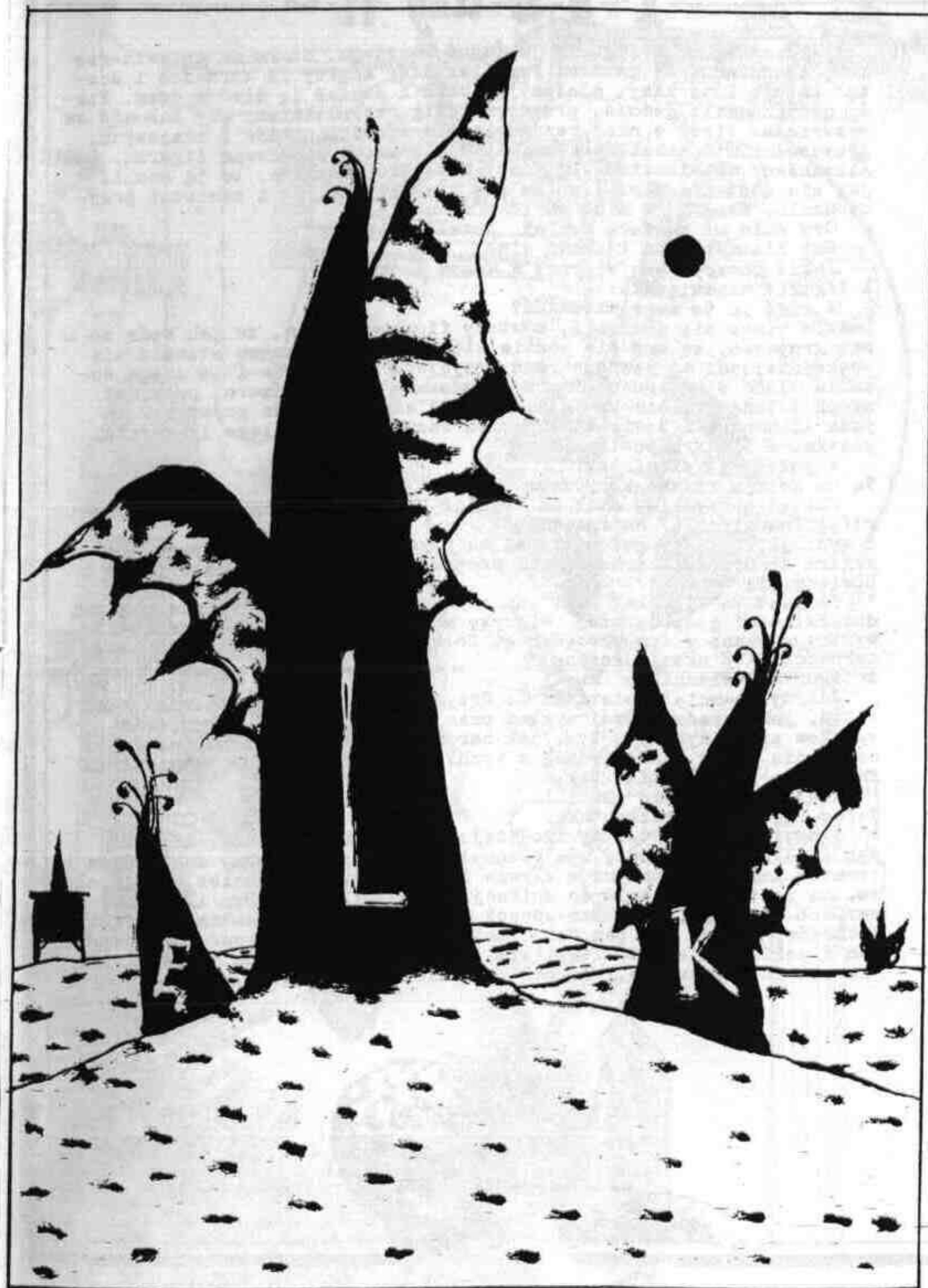
Smutno ci bracie, smutno nad ranem
Świat się rozplywa jak śnieg w kominie
Życie wypełnia twój umysł sianem
I dzień za dniem uryną płynie

Smutno ci głupcze dziś na krawędzi
Marzenia z twarzą ubitych wołów
I świat z papieru do przodu pędzi
A ty bez rąk ruszasz na połów

Smutno ci malcze w szklanym przedszkolu
Program przybito gwoździem do czoła
Ziarna miłości siejesz w kąkolu
Szukasz biletu u wrót kościoła

Smutno ci bracie w tandetnym cyrku
Który potocznie zowie się życie
Radość z kartofli pompujesz w szynku
A twoja twórczość, to brzucha tycie

Lecz będzie lekko, cudownie brachu
Opuścisz wesół popsute ciało
Kiedy się wreszcie wyciągniesz w piachu
W Pełnię zamienisz Nicość niechcianą.



F-i-g-u-r-k-a

Pan Alexander miał figurkę jakiegoś świętego. Stała na telewizorze i była cudowna, bo gadała. Pan Alexander mógłby ją sprzedać i dostać za nią kupę kasy, ale on ją lubił i chciał ją mieć w domu. Kiedy przychodzili goście, przykrywał figurkę szalkiem, aby ich nie zaczepiała. Wieść o niej roznieśli się wśród sąsiadów i znajomych, przychodzili i namiętnie domagali się rozmowy z cudowną figurką. Pan Alexander zapowiedział jej, że jak będzie złośliwa, to ją spali, a jak nie dostanie forsy, to ma się nie odzywać. No i sąsiedzi przychodzili, kładli 10 albo 20 zł i rozmawiali.

Czy duże mi zostało życia?, pytali. Albo:

Czy Piotrek mnie kocha? albo:

Jakie numery będą w środę w dużym lotku?

A figurka odpowiadała:

A skąd ja to mogę wiedzieć?

Ludzie nieco się złościли, a wtedy figurka mówiła, że jak będą na nią krzyczeć, to ona nie będzie się odzywać i rozmowa stawała się spokojniejsza. Aż pewnego razu przyszedł ksiądz, bo i do niego dotarła wieść o cudownej figurce. Podszedł do telewizora, podniósł szalik i zamarł w oczekiwaniu. Zapadła cisza. Ksiądz popatrzył na pana Alexandra i powiedział, że od razu było dla niego jasne: to plotka. A figurka powiedziała:

A położyłeś pieniędzy?

Na co ksiądz zaczął krzyczeć:

Cóż za obrzydliwy atak na kościół katolicki i naszą świętą wiarę!!! Komuniści!!! Satanści!!!

I wybiegł, a kiedy gniew trochę mu przeszedł zakablował pana Alexandra do Urzędu Skarbowego. I przyszedł pan z policji skarbowej i powiedział:

To jest ta figurka? Jest pan oskarżony o prowadzenie nielegalnej działalności gospodarczej. Figurkę musimy zatrzymać jako narzędzie wykorzystywane w tym procederze. Po wyjaśnieniu zostanie ona panu zwrócona albo skonfiskowana.

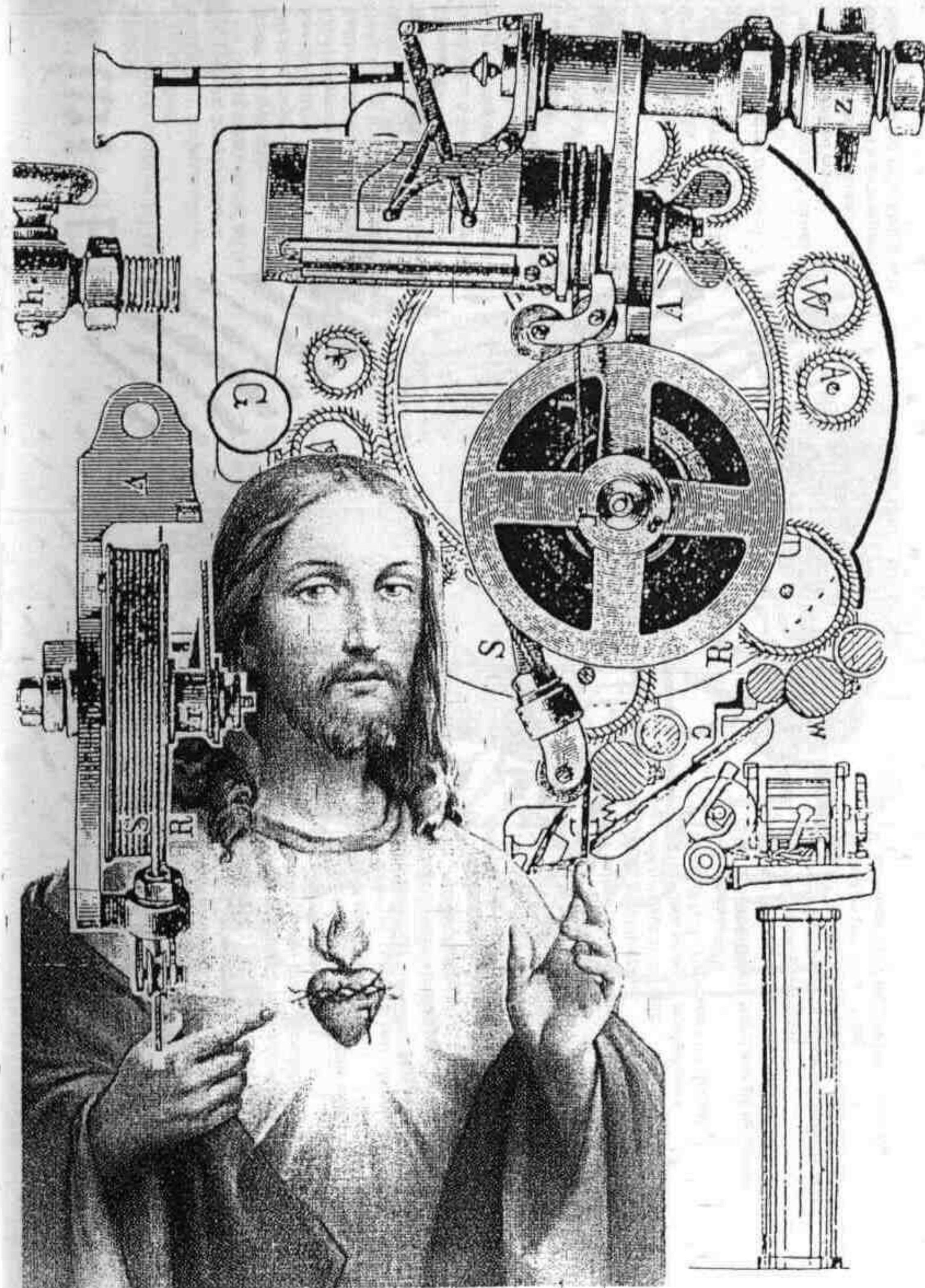
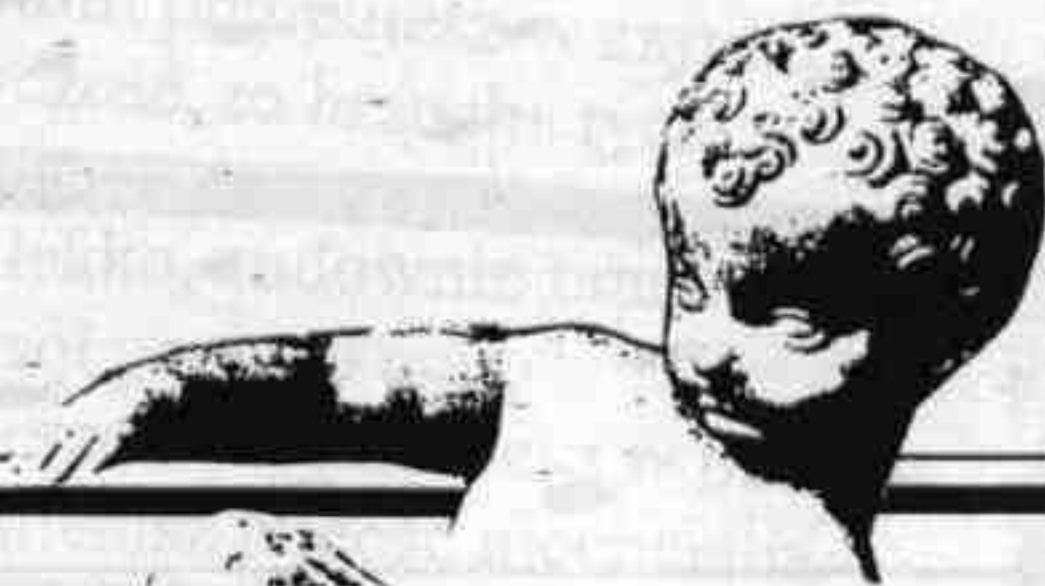
A figurka powiedziała tak:

Jak tylko mnie zabierzesz do Urzędu Skarbowego, to opowiem tam o tym, jak okradasz swój zakład pracy doradzając na czarno dwóm spółkom prywatnym, i o tym, jak bardzo intymny jest stosunek łączący cię z pre zessem jednej z tych firm, ty pieprzony wszęźdu!! Pan na to odpowiedział tak:

Ależ ona naprawdę gada!!!

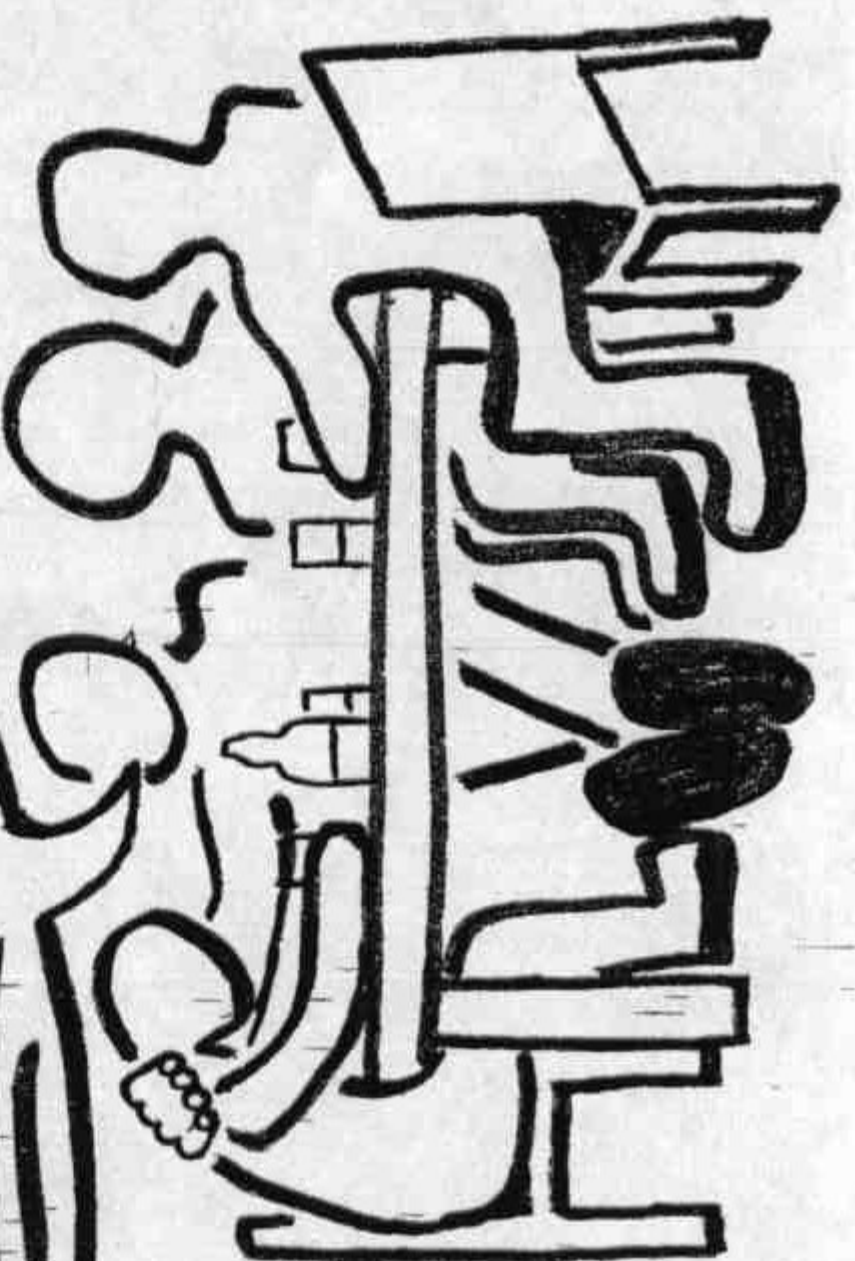
Na co figurka odrzekła tak:

A zapłaciłeś za to, ty złodzieju!!!, i krzyczała tak, dopóki pan z policji skarbowej nie rozdeptał figurki na drobny mak. Potem jeszcze polał ją benzyną w zlewie i podpalił, a na koniec pozbierał to, co zostało, wrzucił do ubikacji i spuścił wodę. Pan Alexander zwrócił mu uwagę, że w ten sposób pozbawiony został ważnego źródła dochodów, a poza tym pan policjant zniszczył ważny dowód rzeczowy. Pan z policji nie spodziewał się tego, że taka bzdurka jak ta figurka tak go zdenerwuje. Ale dał panu Alexandrowi 200zł.



Pachatek

wałCZ

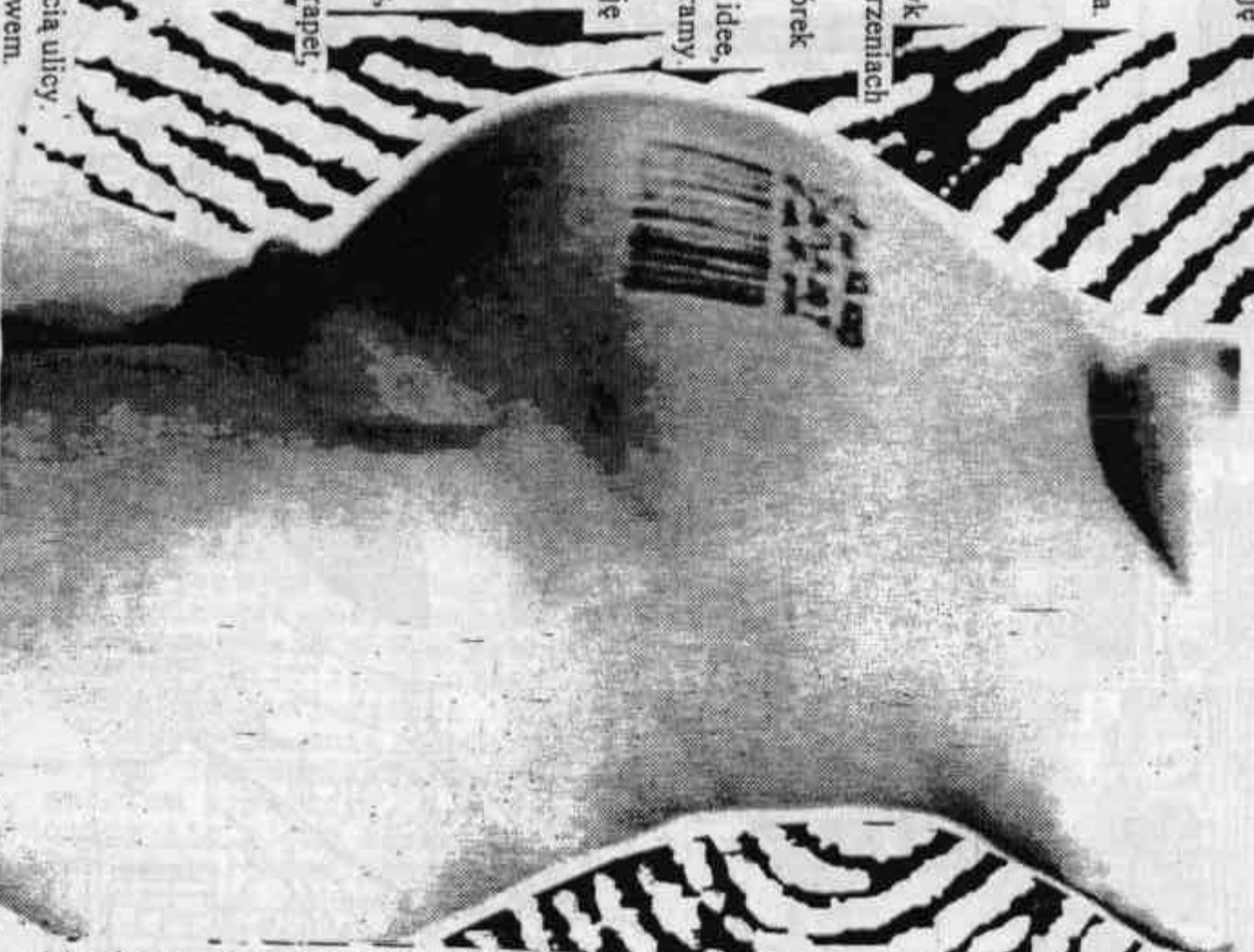


ITALI!
ŚAISACVOZID YL
!JIDOTHO

bar

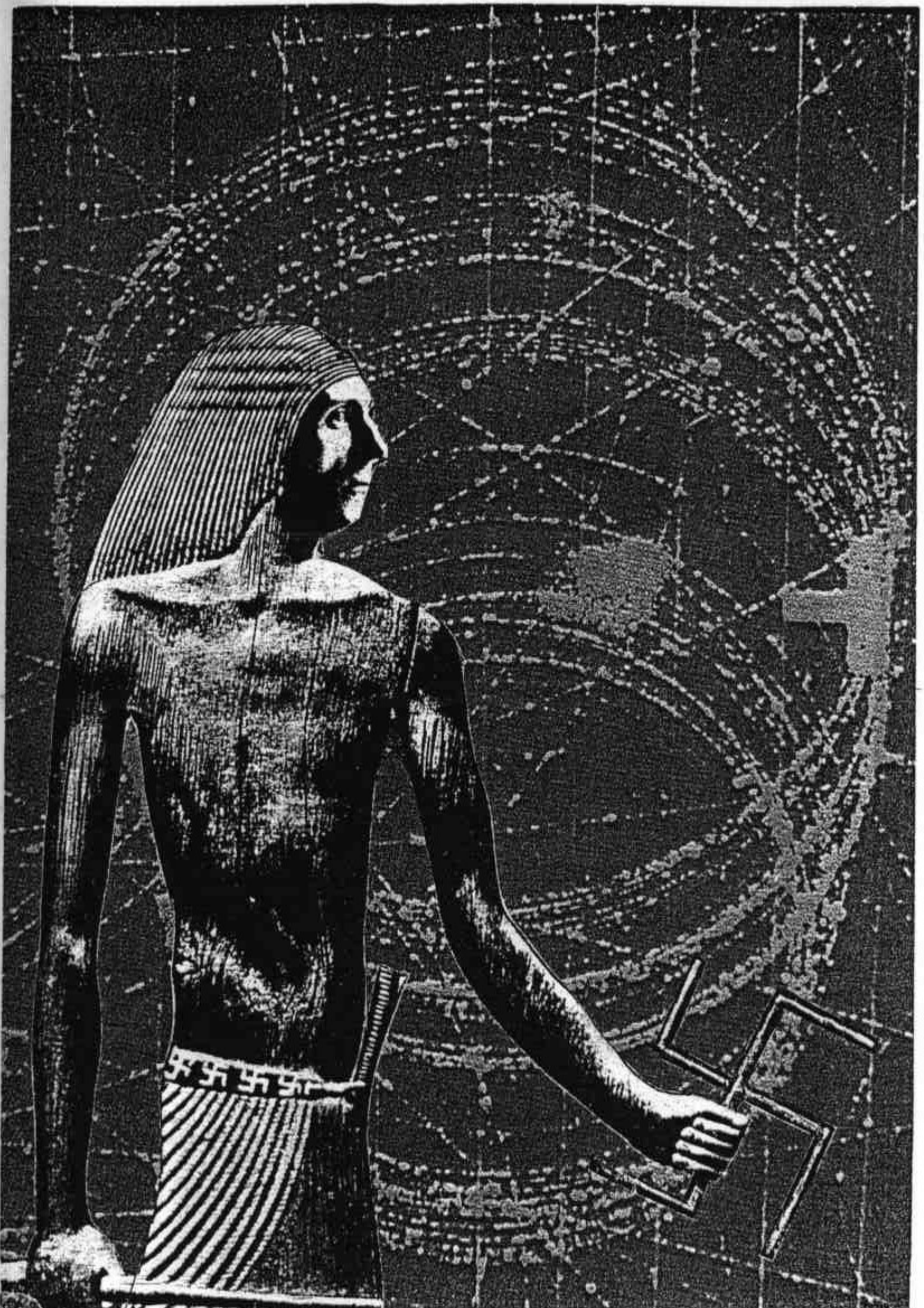
szwindaEl

Jak wielkiego oszustwa dokonuje
Każdego dnia?
Wstaję rano, otwieram okno,
Piszę wiersz, zamykam okno.
I nie kałeczą mnie odłamki szkła
Z pochluczonych szyb.
Nie ranią mojej wrażliwości
Kawałki grozy.
Każdym rymem kłamię.
Każdym rymem zagłuszam krzyk
Uwięziony w ściśniętych przestrzeniach
Gardel.
Tkanek i myśli, pragnień i komórek
Kłamię...
Przeliczając o świcie dogmaty i idee,
Na centymetry szczęście, na gramy,
Jak wielkiego oszustwa dokonuję
Każdego dnia?
Tylko ja wiem, ale to przecież
Moje kłamanie.
Wstaję rano, otwieram okno,
Piszę wiersz...
Przez chwilę spoglądam jeszcze,
W pochmurności.
Nieporadnie wdrapuję się na parapet,
Roztrząskuję słowa o bruku
Już nie ma miejsca dla poezji.
Dopisze się sama.
Podkreślając doniosłość chwili
Dzieliącej mnie od prawdy.
Zawieszoną gdzieś pomiędzy
Otwartym oknem a zwyczajnością ulicy.
Nawet ta krew jest tylko kłamstwem.



Pamięć

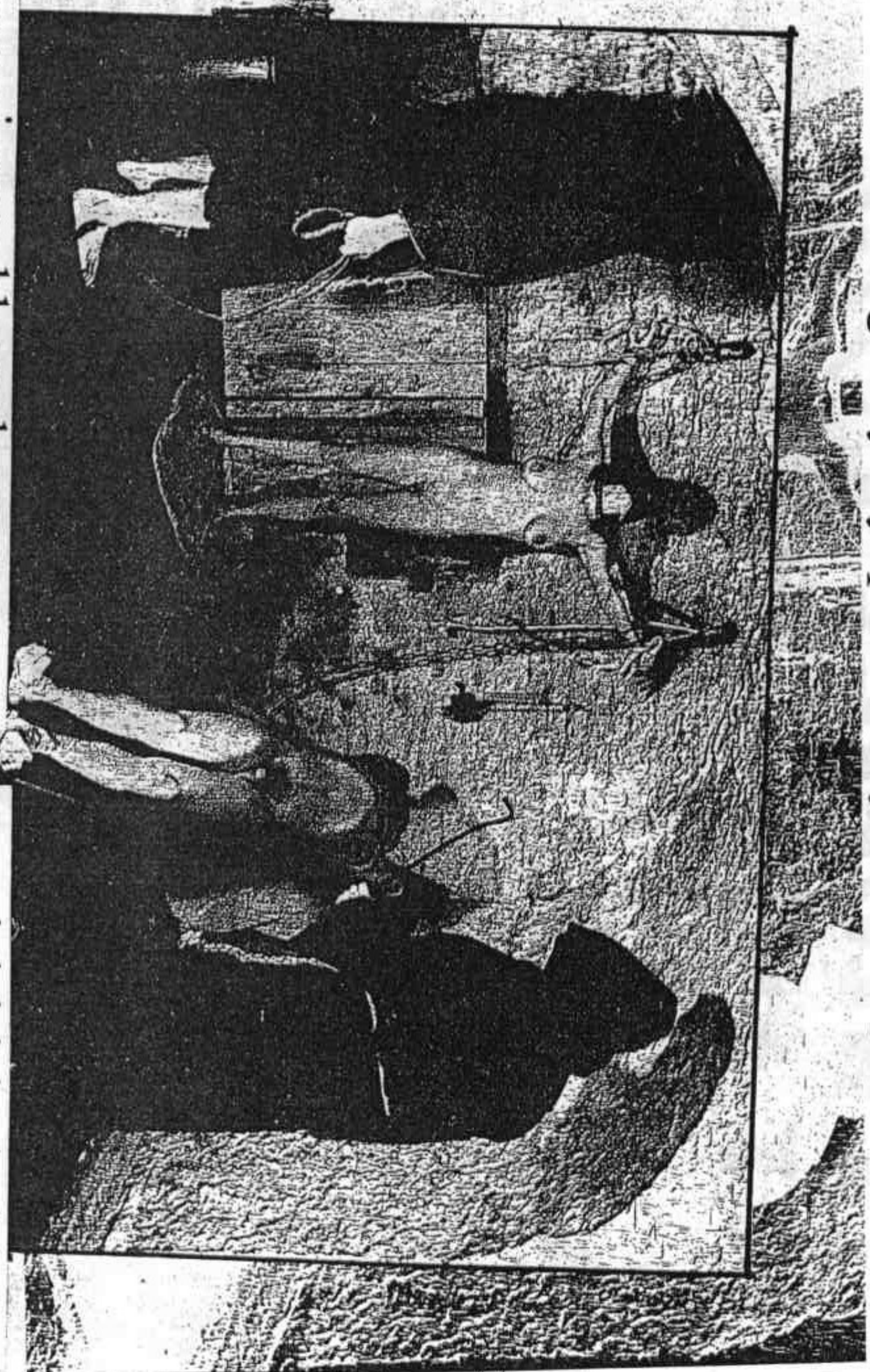
Odkąd pamiętam odczuwa mnie śmierć.
To „coś” w najmniejszym z możliwych wymiarów.
Dramat? Nie - to przecież nie dramat.
Bo nie jest nim śmierć siwosrebrnego gołębia,
Rozszarpanego przez dachowego kota.
Nie jest nim skowyt psa,
Potraconego przez rozpędzony samochód.
Nie jest nim umieranie
W ciemnym, pustym przedziale pociągu.
To przecież akt.
Odkąd pamiętam odczuwa mnie śmierć.
To „coś” w najmniejszym z możliwych wymiarów.
Ostatni szept. Ostatnie słowo,
Są jak spowiedź. Trochę jak pożegnanie.
Nie boję się go bardziej niż powrotów.
Nie boję się go bardziej niż pamięci.
Mimo to pamiętam - że odkąd tylko
Odczuwa mnie - to „coś”
W najmniejszym z możliwych wymiarów.
Moje małe umieranie.
Oddzielające skutecznie.
Następujące po sobie przebudzenia.
Dramat? Nie - to przecież nie dramat,
Nie jest nim.
Ani to nieczłowiecze trzymanie się tej strony.
Nie jest nim.
Szaleńczy pościg za czymś.
Co jedynie przypomina mi zarys Twojej twarzy.
To „coś” pomiędzy śmiercią gołębia,
Skowytem psa, Mną i Tobą.
W najmniejszym z możliwych wymiarów.



Dobrze, się zrywam

odpływam gdzieś w dal w szum, gzum;

Determinizm astrologiczny był prawdziwym niebezpieczeństwem...



...W kieszeni mam klamerkę czerwona

a nani dzisiaj taka blada

ZAGADKA TRÓJKĄTA bermudzkiego

Siedział podekscytowany w fotelu i oglądał świat zza okna samolotu. Co prawda wszystko przesłaniała mu gęsta warstwa chmur, ale Marian Klucha nie przejmował się tym. Pierwszy raz leciał samolotem i podróż ta była dla niego tak niezwykła, że nawet zapomniał, iż ostatnio jest modne bać się arabskich terrorystów porywających samoloty. Mariana nie interesowali terroryści. Interesowało go tylko to, że właśnie powoli ziszcza się największe marzenie jego życia...

Wszystko zaczęło się, gdy Marian miał siedem lat. Dostał wtedy na urodziny od taty książkę "Zagadki naszego świata". Książka ta tak bardzo pochłonęła małego szkraba, iż na wiele lat stała się dla niego najważniejszą książką przechowywaną na honorowym miejscu, niemalże wyrocznią. Dlatego, gdy po wielu latach jego dziewczyna zechciała wyrzucić do śmieci kompletnie zużytą i zniszczoną książkę, rozpętała się tak okropna awantura, że Aneta (dziewczyna Mariana), trzasnęła drzwiami i już nigdy nie wróciła. Marian nie przeżył się tym zbyt długo. "Głupia baba" - pomyślał. "Nie rozumie co, tak naprawdę jest najważniejsze". Ale najważniejsze, że Marian to rozumiał. On, po prostu, WIEDZIAŁ. Chodziło oczywiście o zagadkę trójkąta bermudzkiego. Tak, to było to, co fascynowało go od lat. To było to, co męczyło go tak długo. Zbierał wszystkie informacje na ten temat, które ukazywały się w prasie, radiu i telewizji. Kupował wszystkie, nawet najbardziej głupie i kiczowate książki jakie tylko się ukazywały. Były tam wspomniane o trójkącie bermudzkiem.

Teraz, po tylu latach Marian Klucha leciał wreszcie do swego upragnionego "trójkąta". Obiecał to sobie bowiem jeszcze jako dziecko. Ze gdy będzie stary i będzie miał już umierać, to polecą lub popłyną tam, by samemu się przekonać, co tak naprawdę powoduje tajemnicze zniknięcia statków i samolotów. Los zrzucił jednak tak, że Marianowi dane było polecieć tam znacznie szybciej. Jego rodzice zginęli bowiem w wypadku samochodowym, Aneta jak już wspomnieliśmy, zostawiła go, więc nic go już nie trzymało w kraju. Polisa po rodzicach pozwoliła wszystko sfinansować....

Koła samolotu dotknęły ziemi. Był już prawie na miejscu. Jeszcze tylko podróż statkiem... i pozostaje czekanie. Aż się ujawnią. Aż się pokażą. Marian miał bowiem własną teorię na ten temat. WIEDZIAŁ, że to sprawka kosmitów. Nie mógł tego udowodnić, ale WIEDZIAŁ.

Czas dłużył się niemiłosiernie. Minęły już dwa tygodnie od przylotu Mariana i nic się jeszcze nie zdarzyło. Pływał codziennie statkiem i wypatrywał zielonych ludzików, ale ci jakby robili mu na złość i nie chcieli się pokazać. Powoli więc Mariana opuszczały nadzieje. Siedział na małym stateczku i oglądał gazetę z roznegliżowanymi paniami, gdy zerwał się wielki wiatr. Porwał mu z rąk papierowe, wielkie biusty i krągłe pośladki. Marian zerwał się jak oparzony i zaczął wpatrywać się w horyzont. Wiatr umilkł całkowicie, a do statku zbliżała się dziwna trąba powietrzna. Wyglądała jak zrobiona z białej, gęstej piany. Po chwili była tak wielka, że pochłonęła cały statek. Białe oślepiające światło otoczyło go i poczuł się błogo, błogo...

Obudził się w dziwnym, niemal kulistym pomieszczeniu. Ściany jarzyły się dziwną zieloną poświatą. On sam leżał nago na kryształowym stole. A obok w fotelu siedział Murzyn. Co? Murzyn?!

- Spokojnie men! Czynam luz, brachu!

- Co się dzieje? Gdzie ja jestem? - pytał zszokowany Marian, zakrywając rękoma kroczę-

- Wszystko być O.K., biały men! Ja być reżyser filmowy. Ja kręcić filmy.

- Co? To jakieś oszustwo! Gdzie są kosmici?!

- Nie martw się, biały bracie. Wszystko O.K. My być u kosmitów. Oni kręcić filmy. Mnie porwać wcześniej. Ja też grać w filmach. Ja być dobry i sprytny i oni mnie zrobić w nagrodę reżyser. Ty się niczemu nie sprzeciwiać, a być ci tu dobrze.

- Jakie filmy? O czym ty gadasz, czarnuchu?

- Pornole, biały men. Kosmity mają specjalny podziemny czarny rynek dla wszelkiej maści zboczeńców. Zupełnie tak jak my. I tam też są filmy z Ziemiąkami. I czeba je kręcić. Ty też zaraz zagrasz w filmie. Scenariusz być taka: wpada trzy kosmity i cię rznąć. Dwa kosmity z wielką penis i kosmity z wielką waginą. Ona cię na jeżdźca, jeden kosmit cię w dupę, a drugi w usta. Potem ty kosmitce dobrze językiem, a oba kosmity cię w dupę. Genialne, nie, biały men?

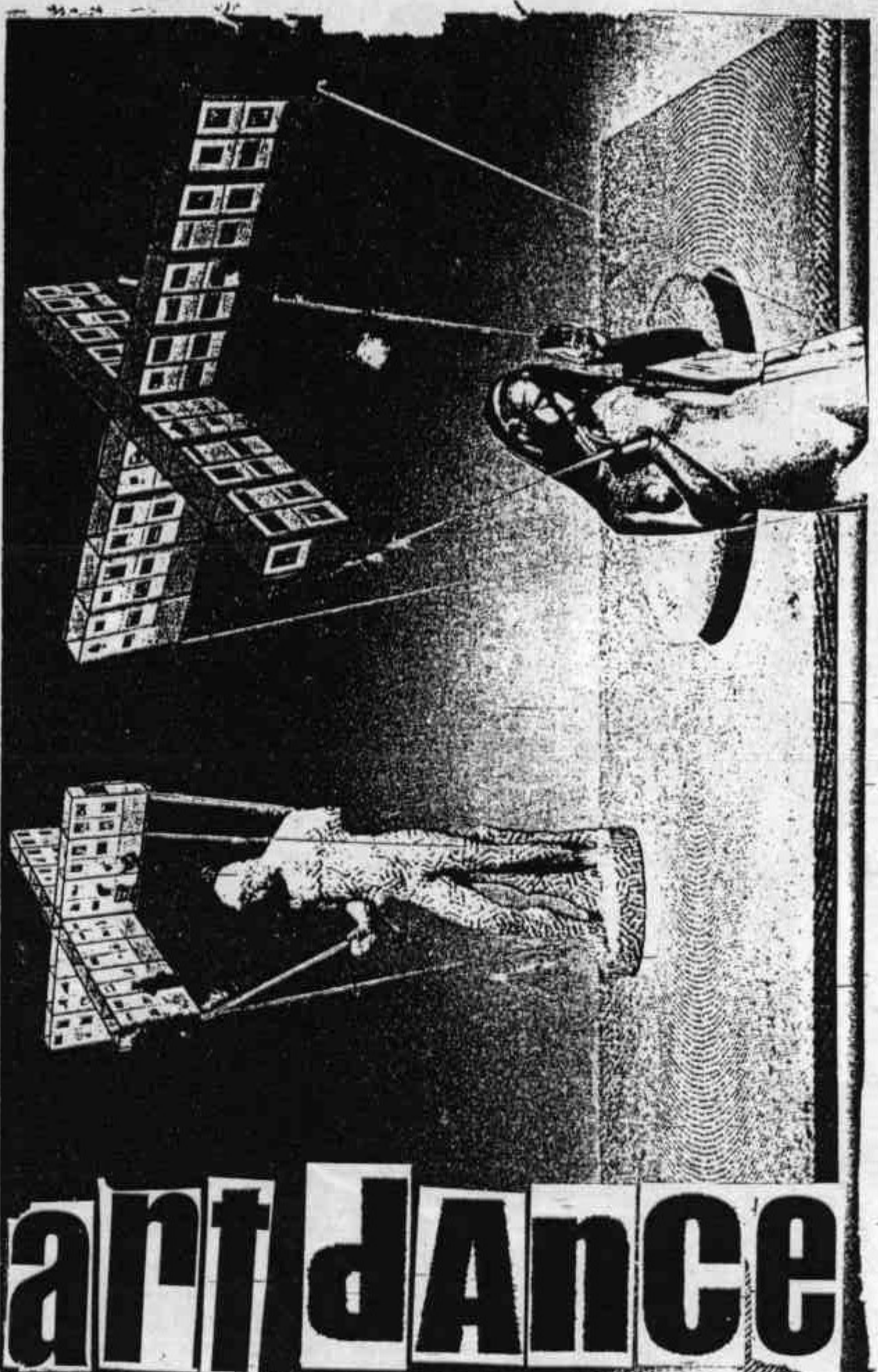
- Co ty pier...?

- Kręcimy, AKCJAAAA!!!

Do sali wpadają zielone ludziki. Dwóch jest wyposażonych w wielkie, przeogromne (około półmetrowe) członki. Kosmitka ma wielką, ohydą szparę wielkości bębna od pralki automatycznej. Smród z owego otworu jest straszliwy. Marian nie może się ruszyć.

- Nieeeee!!!!!!





Ułomna sprawiedliwość

Zobacz rzeczywistość przed rewolucją, bloki, ludzie, teatr,

walka, obrona, system manipulacji, postępująca pseudo

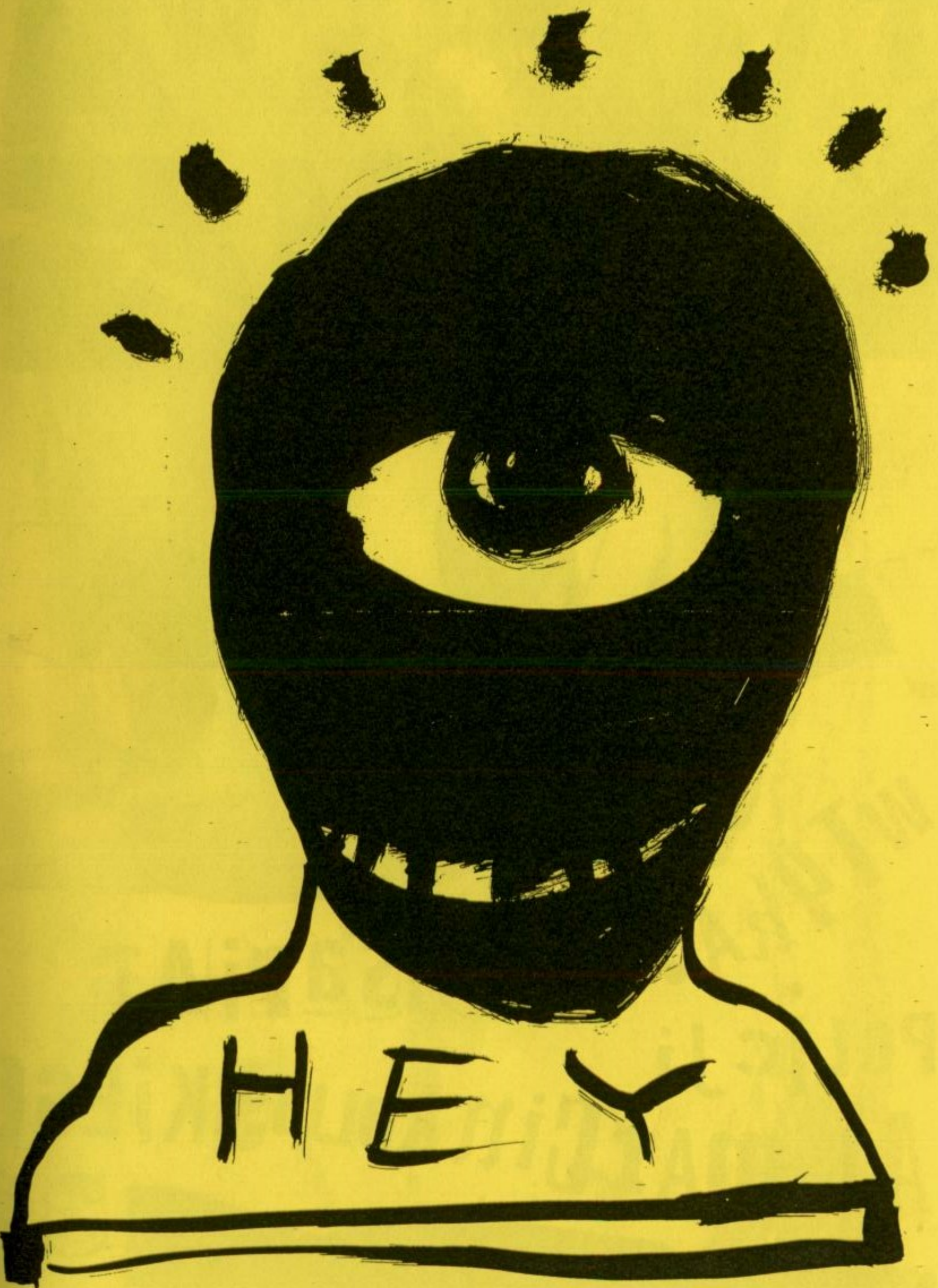
liberalizacja, sztuka, niezadowolenie, czarne flagi, symbole,

monopol, swastyki, cuda, moralna polityka, zamaskowana
patologia, publiczność, ofiary, nędza, zagrożenie

Poniedziałek, 7 lutego, kompromis za śmierć, zło, grzechy

bez końca, prawo, przemoc, zabawa, gaz, ciepło... cieplej...

finisz, płac, życie kupisz najtaniej!



Pędząc przed siebie

na niebie

widzę jak się przeobraża

krajobraz.

Zamrażam te widoczki

obłoczki, lasy, jeziora,

wszystko do worka

pamięci

strzeż się!

Kręci muzyka

kosmyka poprawiam

nadstawiam uszy

by duszy

pozwolić wszystkiego posmakować

jestemy

w drodze...

